Kurjer literacko naukowy

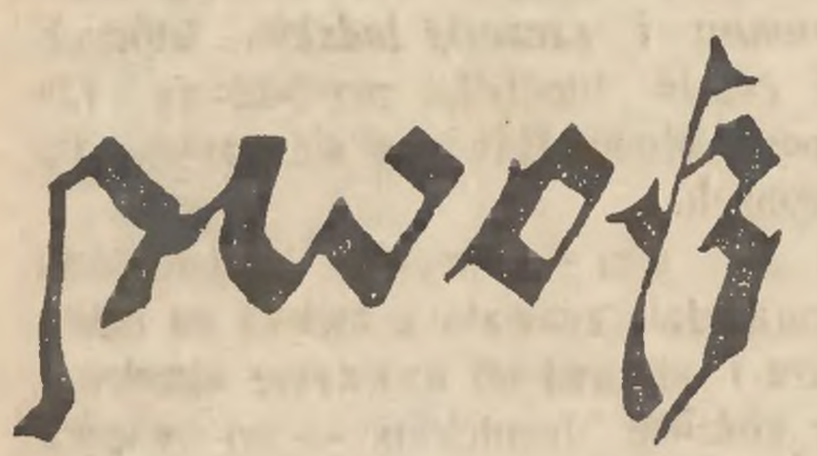
Rok. II . BEZPŁATNY DODATEK DO „KURJERA LWOWSKIEGO" Nr. [illegible]

W 400-lecie śmierci Stwosza

Niemcy o Stwoszu

W roku bieżącym przypada 400-letnia rocznica śmierci **Wita Stwosza** Umarł w Norymberdze, mając lat 95, a urodził się w Krakowie. Przypomnienie o tem narodowi polskiemu, jest ważniejsze o wiele, niż się to komuś wydaje.

Rozgrywają się przed nami i w oczach naszych sprawy ważniejsze, — które idą na chwałę wszystkich, tylko nie narodu polskiego. Niemcy przygotowują się znakomicie do zwycięstwa ostatecznego, aby przed światem okazać, jakim to ich posłannikiem



Podpis Stwosza z grobowca Kardynała Oleśnickiego w Gnieźnie

był ten **„Stoss„** — którego nazwisko ma być dzisiaj ich dumą najwyższą, chociaż przed 400 laty ścigali go nienawiścią najokropniejszą i w drodze łaski zhańbili go tylko napiętnowaniem po policzkach.

Co do Stwosza i sztuki jego zapanowała walka od czasów bismarkowskich, zgóry obliczona na to, aby **„wywłaszczenie„** w całej pełni osiągnęło korzyści jak największe dla Niemców a wobec narodu polskiego było **tępieniem,** którego idea ożywia wrogów naszych od czasów Karola Wielkiego. I nie można zaprzeczyć, że zwycięstwo już przechyliło się pozornie na stronę Teutonów tak przeważająco, jakby nie zachodziła już żadna wątpliwość. Wszak nauka polska, t. zw. **„urzędowa„** — niestety więcej dała sąsiadom naszym, aniżeli oni sami wziąć by chcieli i śmieli.

Głoszą zatem niektórzy, — a jest ich sporo, — że **Stoss,** to Niemiec i niema nadziei dla narodu polskiego, aby cieszyć się mógł sławą **Stwosza,** jako Polaka i Krakowianina. A jednak wszystko to nieprawda.

Dla okazania prawdy czystej w świetle jasności, przypomnimy głosy Niemców samych, którzy badali sprawę bez nienawiści takiej, jaka dopiero duchem Bismarka się wzmocniła.

Oto jeden z najpierwszych badaczów sztuki, Franciszek **Kugler,** orzekł w r. 1859 wyraźnie, że Stwosz pochodzi z **Krakowa** i odznacza się wdziękiem prostym a czułym, a twórczość jego z czasów rozkwitu należy do ojczyzny jego, w której miłość do sztuki i wspaniałości Jagiellonów obudziła zrozumienie najżywsze. (Handbuch der Kunstgeschichte, tom II. str. 739). Przekonujemy się, iż początkowo w połowie wieku XIX nikomu nawet nie śniło się jeszcze o tem, aby Stwosza wydzierać narodowi polskiemu, który za króla Kazimierza Jagiellończyka zdobył się rzeczywiście na wiele arcydzieł sztuki średniowiecznej tak wielkich a osobliwych, że stanowią one nasze bogactwo prawdziwie wyjątkowe. Sklepień np. takich, jakie przechowały się w krużgankach **„Collegium Jagiellonicum„** w Krakowie, razem ze słupami kamiennymi ukośnie żłobkowanymi, nie widać zgoła nigdzie, ponieważ są one wykwitem stylu naszego własnego, **nadwiślańskiego,** który jest chwałą Piastów i Jagiellonów. Wyrażenie **Kuglera,** głoszące przed światem okres wielkiej i wspaniałej sztuki Jagiellońskiej, dotyczy istotnie szlachetności tego **serca jagiellońskiego** o którem mówi tak podniośle Zagłoba w **„Potopie„.** I w rzeczy samej dzieła wszystkie **Stwosza** mają tę wartość największą a wyjątkową, że żyje w nich jeszcze siłą cudowną **serce i sumienie** nasze narodowe, zanim zamącenia późniejsze nie pokryły ich powłoką zdawkową.

Orzeczenie Kuglera nie było odosobnione i wyjątkowe, wszak mamy



Grupa środkowa z ołtarza Marjackiego w Krakowie, wyobrażająca „Uśpienie Matki Boskiej". Jedno z najpiękniejszych arcydzieł świata!

dzieło **Rettberga:** „Nürnbergs Kunstleben„ w którem badacz ów wyraźnie powiada o Polaku Stwoszu „von dem Polen Veit Stoss„. (str. 78). Orzeczenia Rettberga opierają się na zdaniu Neudörfera, który stanowczo głosi, iż arcymistrz Stwosz urodził się w Krakowie. Stąd sławny o nim wyrok: „aus Krakau kam mit einem dort bereits wohlerworbenen Rufe„ (str. 78 z roku 1854). A zatem wedle określeń najpierwszych uczonych niemieckich, Stwosz był Polakiem i krakowianinem.

Dopiero polityka bismarkowska nakazała zwrot w sprawie czystej jąk krynica. Oto co nie szło na rękę, to skazało się na zaginienie, a przeciwnie co obliczone było na korzyść dla niemców to wyniesiono pod niebiosa Z przykrością niestety możnaby powiedzieć, że z czasem w nauce polskiej więcej usiłowano bronić niemieckości jak polskości Stwosza. Powstało zamięszanie pojęć, wyzyskane oczywiście **„prawem pięści„** na rzecz mocniejszego.

Uczony niemiecki Paweł Jan **Rée** w dziele: **„Nürnberg„** pisze, mimo to, że jeżeli kto chce poznać genjusz Stwosza, to musi go szukać tylko w Polsce dawnej a szczególnie w Krakowie, albowiem najprzedniejsze utwory ręki jego a zarazem najdoskonalsze to ołtarz Marjacki i grobowiec króla Kazimierza Jagiellończyka. Ważne są to słowa, które Polak pamiętać winien. Arcydzieła wspomniane są tak odmienne od wszystkich tego rodzaju w Europie, że o jakimkolwiek wpływie sztuki niemieckiej mówić tu nie można. Gdyby Flandrja miała służyć za wzór dla twórczości musiałoby być coś podobnego tam na zachodzie. A przecież ołtarz marjacki krakowski nie da się porównać z niczem. Stwosz zresztą, nie był nigdy we Flandrji. Jeżeli nauka nazywa Stwosza na podstawie tych dwóch pomników Donatellem, to jest on rzeczywiście Donatellem **polskim** a nie niemieckim, bo tylko w Polsce zabłysnął promieniami świetności, która go stawia w rzędzie arcymistrzów świata i ludzkości.

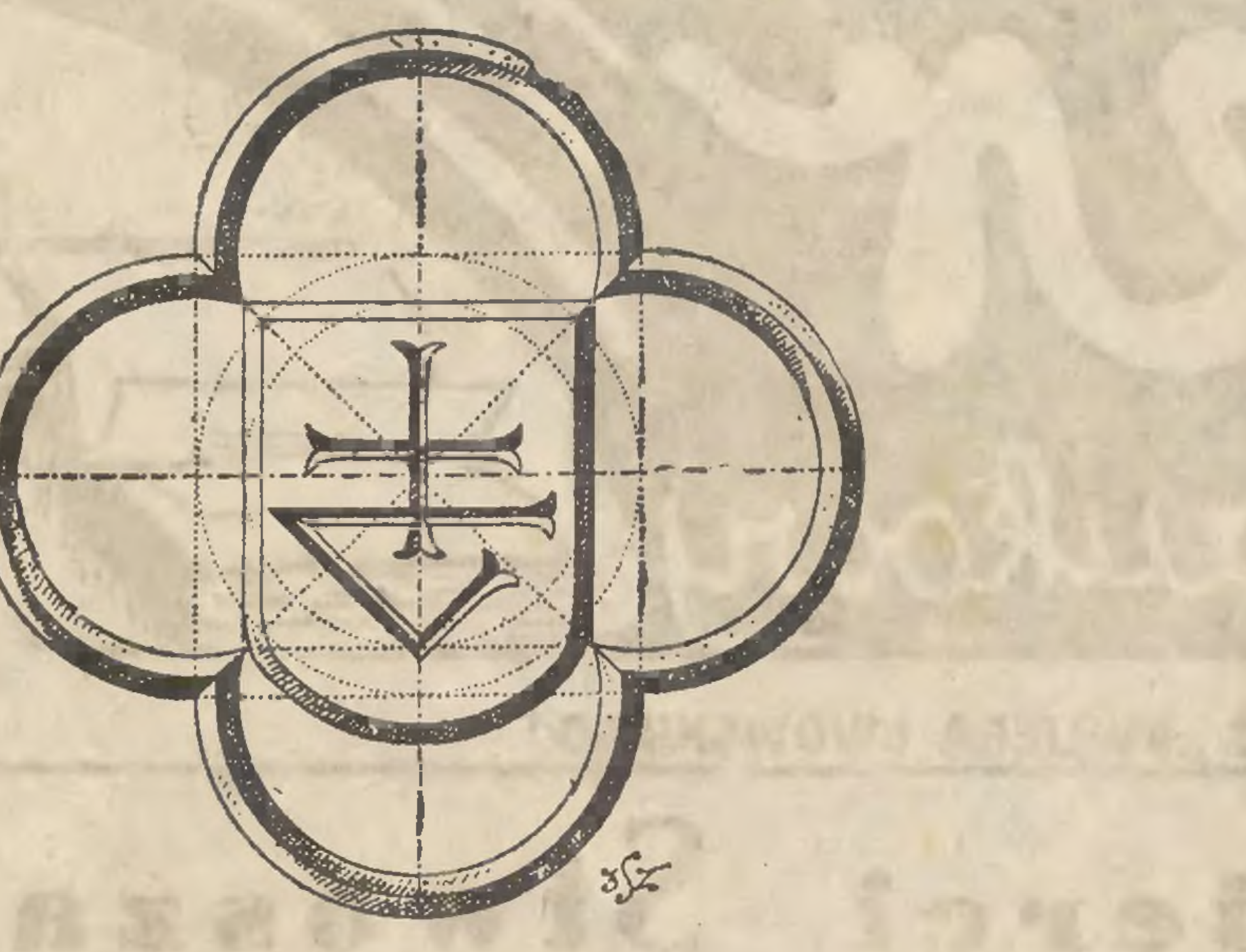
Działalność Stwosza zatem, wedle prawdy, najwznioślej odznaczyła się tylko w Polsce a przytem ołtarz Marjacki i grobowiec królewski na Wawelu to są arcydzieła o wiele wcześniejsze od wszystkich prac jego, później po Niemczech rozsianych, a zatem na tej podstawie wyrok oczywisty, że sztuka w czasie owym w Polsce stała wyżej jak w Niemczech. To jasne! Dlatego prace Ludwika Stasiaka, poświęcone obronie polskości Stwosza, są pełne wartości.

Stwosz nie w Norymbergji rozpoczął działalność lecz w Krakowie i sława jego nie z Niemiec promieniowała, lecz z Polski, a dowodem tego orzeczenie Niemca **Bergau'a,** który stanowczo twierdzi, że twórca ołtarza Marjackiego i grobowca królewskiego na Wawelu udał się w roku 1496 do Norymbergji, aby objąć kierownictwo artystyczne w pracowni **Wolgemuta,** która w rękach tego ostatniego była tylko przedsiębiorstwem Oto słowa tego Bergau'a: „Veit Stoss 1496 in Wohlgemuths Atelier als Leiter von dessen Bildschnitzerwerkstatt eingetreten ist... Wiedząc o tem, łatwo teraz zrozumieć, jak skrzętnie usiłowano wykorzystać talent genjusza przybyłego z Krakowa, ze sławą w Polsce zdobytą. To też Stwosz musiał w pracowni odlewniczej Piotra Vischera kierować robotami w znaczeniu artystycznem, do których dawał pomysły swoje, wzory, rysunki a nawet modele w drzewie rzeźbione.

Neudörfer, który pisał o Stwoszu najpierwszy wyraźnie orzekł, iż najpiękniejsze odlewy Vischera są w Polsce a nie w Niemczech — dlaczego?... oto dlatego, ponieważ na nich odbiła się wzniosłość Stwosza, pełna siły olbrzymiej i polotu górnego. Sam Heideloff Niemiec, który wydał dzieło: **„Ornamentik„** twierdzi całkiem stanowczo, że Stwosz dawał rysunki na grobowiec Śgo Sebalda i podał nawet odbitki z rysunków Stwosza na pergaminie kreślonych na kilku tablicach dzieła Ornamentik. Heideloff zawyrokował, że nie było w Niemczech w czasie owym mistrza, któryby mógł się równać ze Stwoszem. Pomysł i podele na grobowiec śgo Sebalda pochodzą z twórczości i ręki Stwosza a tylko wykonanie odlewu stanowi udział niezaprzeczony Piotra Vischera. Napis u dołu pomnika wyraźnie mówi, że **Piotr Vischer** wykonał dzieło, a nie stworzył pomysł: „Petter Vischer purger zu Nürmberg machet das Werk mit sein Sune„. — Przy całem bogactwie kształtowań gotyckich szczegóły mówiące o **„baroku Stwosza„** doskonale popierają twierdzenie wedle którego Stwosz jest twórcą duchowym arcydzieł spiżowych, wyszłych z pracowni Vischera. Wpływ Stwosza objawiał się bardzo wyraźnie, gdyż twierdzi sam B. Daun, że w utworach arcymistrza w Norymberdze są twarze polskie, typy słowiańskie, wojownicy polscy o szablach krzywych polskich i żołnierze słowiańscy. Daun zresztą przyznaje, że arcydzieła Stwosza, mają za wiele ruchliwości polskiej i za wiele zasobu żywości gorącej, (heisse Erregbarkeit und unruhige Hast), aby można cechy te odnieść do usposobienia niemieckiego, zawsze chłodnego i przedewszystkiem wyrachowanego.

Wszystko to, cośmy tutaj w skróceniu podnieśli, ma na celu przypomnienie narodowi polskiemu, że Niemcy sami widzieli w Stwoszu duszę polską, pochodzącą z Krakowa, wszak Neudörfer potwierdza, że Stwosza w Norymberdze zwano **Polakiem!**

Daun na stronie 60 dzieła swojego powiada stanowczo, że nietylko Stwosz, ale i inni mistrzowie objawili **polskie kształtowania i polskie oby-**



Znak rodowy Wita Stwosza z ołtarza Marjackiego w Krakowie.

czaje nasze, (polnische Form und Sitte).

Wynika z tego pewność niezawodna, jak wielkie Polska ma prawa do obchodzenia uroczystości, związanej ze śmiercią Stwosza, który doprawdy jako męczennik gnębiony na obczyźnie i dręczony sposobami rozmaitymi w starości później stracił wzrok i tylko siłą ducha polskiego trzymał się aż do 95 roku życia swojego.

Daun B. podaje, że nawet w Norymberdze, zdala od ojczyzny swojej tworzył **„typy polskie„** (polnische Typen) i dlatego zwano go tam Polakiem, bo nawet po polsku nosić się miał.

Nazwisko przeto arcymistrza brzmi całkiem po polsku **„Stwosz„** i zgoła niepotrzebnie nauka wprowadza teraz nowość w pisowni wedle ducha niemieckiego. Że w Norymberdze wołano nań **Stoss,** nic dziwnego, bo Niemiec brzmienia **tw** nie zna i nie znosi. Na grobowcu arcybiskupa Zbigniewa Oleśnickiego w Gnieźnie jest podpis najwyraźniejszy **Stwosz** i podobizną jego, załączoną powyżej, zamykamy poglądy nasze, które mogą nas ośmielić do pisania **„Stwosz„.** Wiemy przecie, że w listach do Rady miasta Norymbergji podpisywał się z początku arcymistrz Stwosz. Później Niemcy go nazwali Stossem, a my dziś rozpowszechniając brzmienie **Stosz** utwierdzaćbyśmy mieli, jakoby był on Niemcem?...

Niemcy przecież sami zwali go **Polakiem!**

Prof. Jan Sas-Zubrzycki.

Taniec na grobach

Kaczka dziennikarska? Bluff? Niesmaczny w swoim makabryzmie żart karnawałowy? Nie! Autentyczny fakt z przed stu laty, długo i szeroko komentowany *przez koła ówczesnej society i ludek lwowski.*

Posłuchajcie.

KONTRASTY.

Jak skromnie i ubogo wygląda Lwów na jednej z rycin z roku 1772. Widać wprawdzie kościoły w dzisiejszym niemal kształcie, stoi jeszcze jeden i drugi zamek, widać pancerz obronny murów, baszty, bramy Krakowską, Halicką i Jezuicką, furtkę dla pieszych z długim zwodzonym mostem, *ale wokoło rozsiadły się jeno dworki, folwarki i puste pola.*



Dwie strojnisie lwowskie z przed stu laty

A tymczasem w kilkanaście zaledwie lat potem *widok zupełnie odmienny,* który w podziw a zarazem smutek wprawił wracającego przez Lwów ze stron rodzinnych księcia Biskupa Warmińskiego. Wyrazem uczucia, jakiego doznał *ks. biskup Krasicki* (o nim to bowiem mowa) na widok ówczesnego Lwowa, jest następujący wierszyk:

„I wspanialszy i ludniejszy.
Jednak przedtem, choć był mniejszy,
Choć mniej ludny, mniej kształtniejszy,
Że był **swoim,** był wdzięczniejszy".

To był *Lwów — stolica prowincji austrjackiej,* w której *dawny żywioł sarmacki mieszał się z napływowym niemieckim.*

Rzecz jasna, że przybywających coraz liczniej urzędników, kupców i przemysłwców niemieckich nic nie obchodziły nieszczęścia Polski, która upadała pod ostatniemi ciosami. Ale niestety, było też i tak, że w przedjutrzu ostatniego podziału, wśród straszliwych katastrof, rozbicia i klęski powszechnej — w wirze zabaw tonęło i życie polskie miasta.

TRAGICZNY KARNAWAŁ

Ani pełne dobrej sławy wspomnienia, ani powaga chwili bieżącej, nie potrafiły odciągnąć Lwowa od zabaw i hulanek.

Najhuczniejszym i najgłośniejszym był Lwów w latach 1793—4, a więc w *okresie insurekcji Kościuszkowskiej*

Zjazd wówczas był ogromny — jak stwierdza historyk tych czasów — *ze wszystkich bowiem ziem polskich zjeżdżały się tu rodziny,* szukając schronienia przed burzą wojenną, przed okupacją rosyjską i przed pierwszem niebezpieczeństwem gwałtownego przewrotu. Prócz tego liczne interesa handlowe i sądowe sprowadzały tu w pokaźnej liczbie *szlachtę galicyjską, szczególnie w okresie t. zw. kontraktów,* t. j. w styczniu.

Ale i bez tego zawsze umiano znaleźć okazję do balów, redut, festynów — tak, że tragiczny ów karnawał — z wyjątkiem W. Postu i feryj letnich — trwał, zdawało się, bez końca.

A już podczas zapustów nie było dnia, w którym nie byłoby jakiegoś balu, pikniku, reduty...

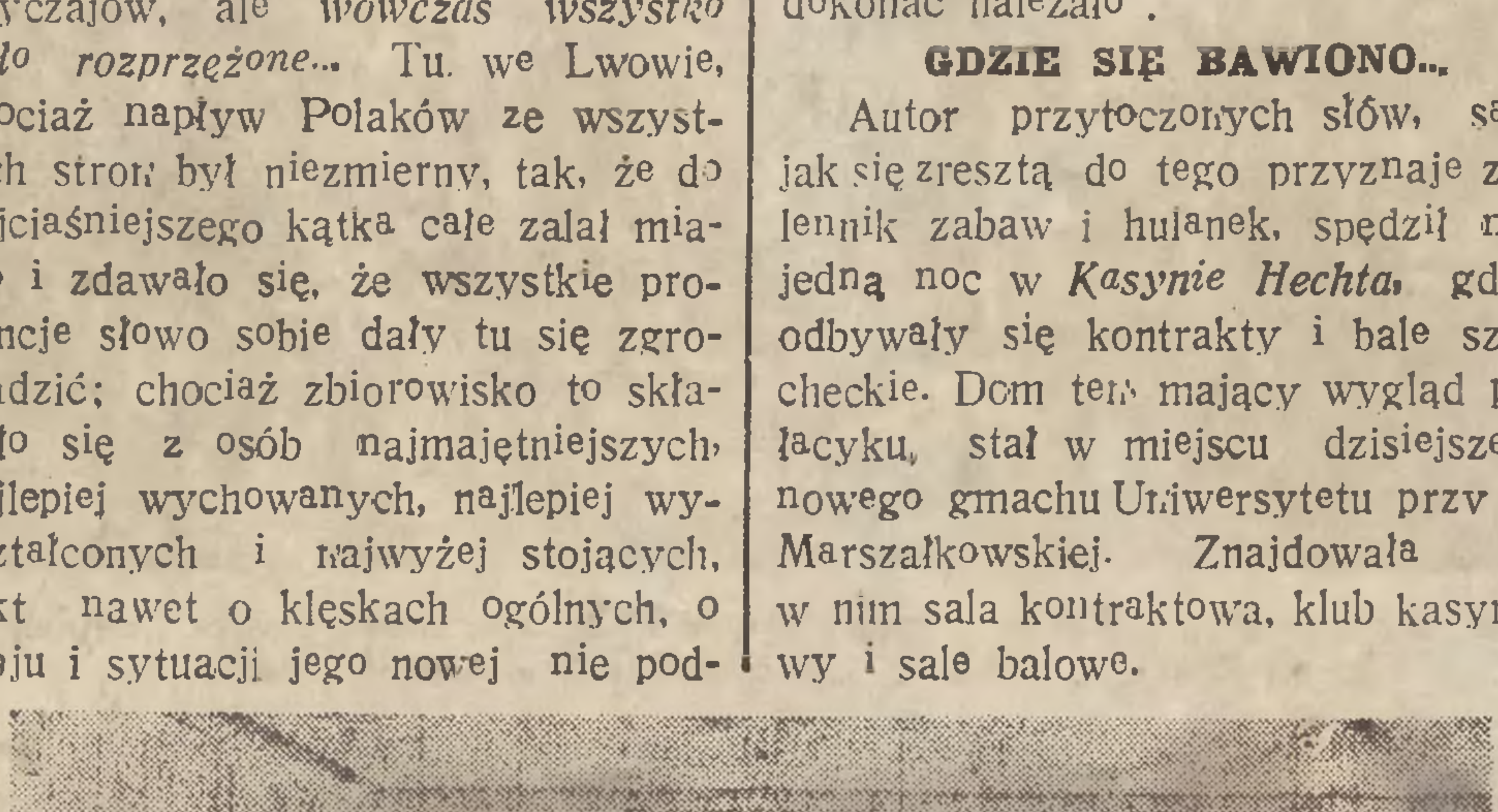
CHARAKTERYSTYKA WSPÓŁCZESNA

Pamiętnikarz tych czasów, *Jan Duklan Ochocki,* charakteryzuje następująco ówczesne życie rozbawionego Lwowa:

„Lwów nigdy nie słynął z ostrości obyczajów, ale *wówczas wszystko było rozprzężone...* Tu, we Lwowie, chociaż napływ Polaków ze wszystkich stron był niezmierny, tak, że do najciaśniejszego kątka całe zalał miasto i zdawało się, że wszystkie prowincje słowo sobie dały tu się zgromadzić; chociaż zbiorowisko to składało się z osób najmajętniejszych, najlepiej wychowanych, najlepiej wykształconych i najwyżej stojących, nikt nawet o klęskach ogólnych, o kraju i sytuacji jego nowej nie podniósł głosu, ust nie otworzył; zdawało się *że poza nami nie było żadnej przeszłości, żadnego jutra przed nami* nic, coby opłakiwać można, nic, czegoby się trwożyć potrzeba, nic, coby dokonać należało".

GDZIE SIĘ BAWIONO...

Autor przytoczonych słów, sam jak się zresztą do tego przyznaje zwolennik zabaw i hulanek, spędził niejedną noc w *Kasynie Hechta,* gdzie odbywały się kontrakty i bale szlacheckie. Dom ten mający wygląd pałacyku, stał w miejscu dzisiejszego nowego gmachu Uniwersytetu przy ul. Marszałkowskiej. Znajdowała się w nim sala kontraktowa, klub kasynowy i sale balowe.



Reduta w Starym Teatrze lwowskim, przerobionym z kościoła św. Krzyża

Ludzie mniej zamożni (przedewszystkiem zaś mieszczaństwo lwowskie, przeważnie niemieckie) bawili się na bürgerbalach w t. zw. *„Veteranische Hochle".* Był to jeden z dworków, położony w okolicy Strzelnicy (ul. Kurkowa). Wspomnieć też należy że, znany później *jako minister Księstwa Warszawskiego, mecenas Węgliński,* człowiek wesoły i lubiący się bawić — wybudował Pohulankę, która to nazwa posiadała wówczas *o wiele pełniejszą, niż dzisiaj treść,* gdyż mecenasowska ustroń była istotnie miejscem hulanek.

LWÓW TAŃCZY NA GROBACH.

Największem jednak powodzeniem cieszyły się reduty, zdumiewające swoją świetnością, bezlikiem eleganckich masek i pomieszaniem warstw. Reduty te odbywały się w *starym teatrze* (dziś stoi w tem miejscu przy ul. Rutowskiego szkoła im. Mickiewicza), przerobionym z kościoła św. Krzyża OO. Franciszkanów w okresie rządów józefińskich. W jego to murach Lwów cały niemal bawił się i szalał, i szukał zapomnienia przez wiele, wiele nocy...

Aż pewnego razu *jeden z wścibskich aktorów teatru Bogusławskiego* dokonał upiornego odkrycia. Pod sceną teatralną aktor ów odnalazł *trumny i szczątki ludzkie,* których w czasie niedbałej przebudowy nie spostrzeżono. Bawiono się zatem... na grobach.

Po tem odkryciu przeniesiono wprawdzie znalezione zwłoki na cmentarz i odprawiono uroczyste egzekwje w kościele jezuickim, — co więcej, dopatrywano się w opisanym wypadku *smutnej alegorji,* jednak... Lwów dalej tańczył, a gmach teatru nie zmienił swego przeznaczenia.

(p.)

Potomek Konfucjusza

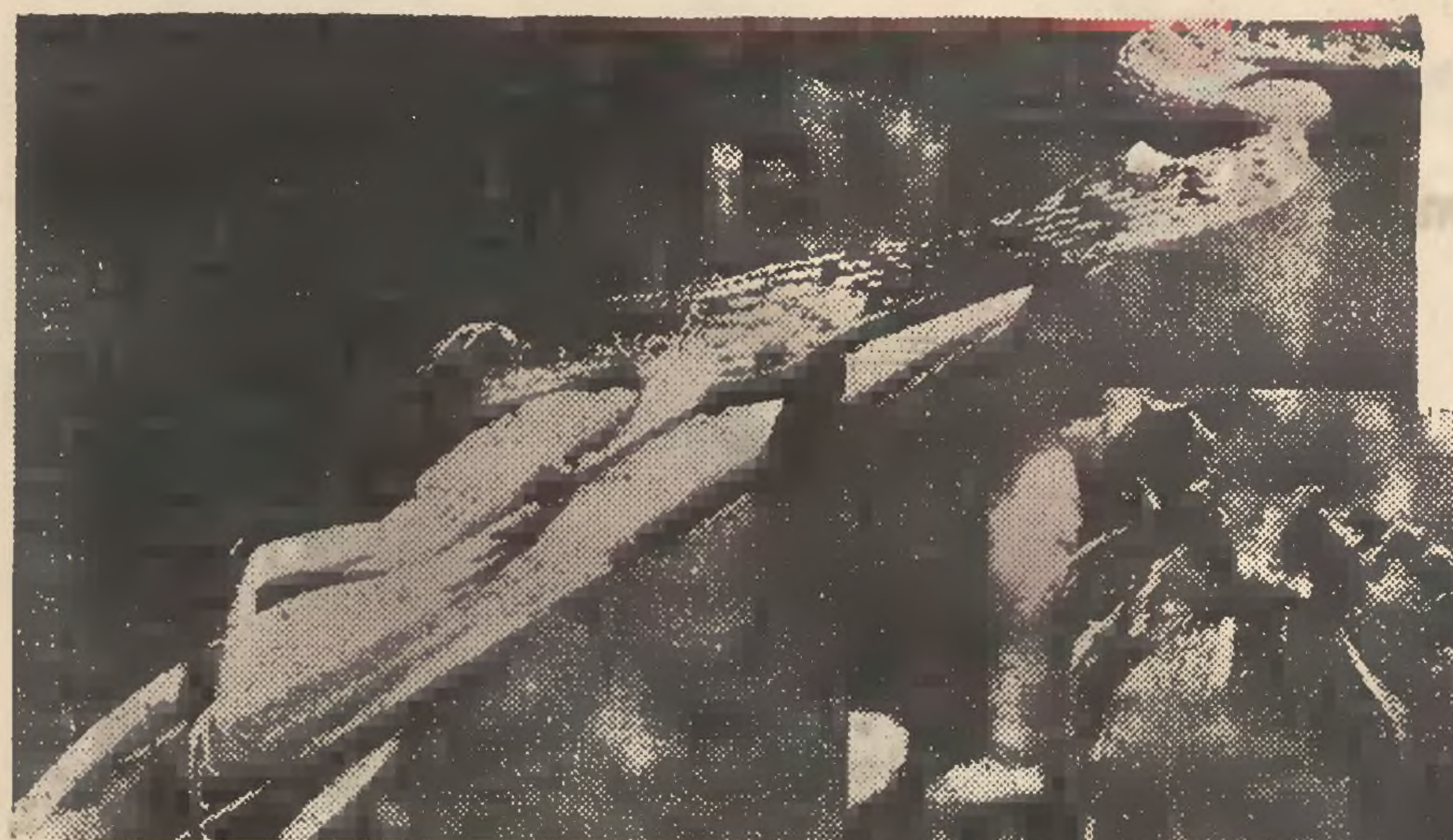
W Rzymie przebywa obecnie Dr. Kung Hsiang Hsi, minister przemysłu Rzeczypospolitej Chińskiej. Przed kilku dniami zwiedził bibljotekę watykańską. Dr. Kung Hsiang Hsi pochodzi w prostej linji od Konfucjusza, mianowicie w dziewięćdziesiątem piątem pokoleniu. Swój stopień naukowy otrzymał w Ameryce, studjował języki i prawo, należy do kierowników chińskiej partji narodowej, był członkiem Kuomintangu i piastował różne teki w kilku gabinetach.

Turcy chcą jeździc na nartach

Wśród powodzi reform, które Mustafa Kemal narzuca Turcji, a które zmierzają do zrobienia jej życia nowoczesnem, pewną rolę odgrywają także sporty. Obecnie propaguje rząd narciarstwo. Z akcją łączą się względy praktyczne. Góra Olimp (nic mająca nic wspólnego z siedzibą bogów greckich, bo położona w pobliżu Brussy) ma posiadać wyborne tereny, więc Turcy liczą na to, że zdołają niezadługo jej okolicę uczynić modną siedzibą sportów zimowych. Stoki tureckiego Olimpu pokryte są śniegiem w wyższych partjach od grudnia do maja, w niższych od stycznia do marca. Szczegóły jakie tu podajemy, pochodzą z ogłoszonego drukiem sprawozdania, jakie wypracował specjalnie sprowadzony z Austrji rzeczoznawca.

Z kraju gdzie pieprz rośnie

Archipelag Sundajski.— Rozumna polityka kolonjalna Holendrów.— Jawa „raj na ziemi".— Walki kogutów.— Świątynia Borobudur.— Wspaniałe perspektywy





U góry: Rzadkie zdjęcie z plantacyj na Jawie: Żmija pożerająca młodego kameleona

—:-:—

Z boku: Młoda Malajka, ustrojona w kwiaty hibiskusa

Niedawny bunt krajowców — marynarzy na holenderskim okręcie „De Zeven Provincien" przypomniał całemu światu te dalekie, egzotyczne krainy, o których normalnie mało się mówi i pisze.

Archipelag Sundajski — ta bezcenna perła korony holenderskiej, — obejmuje paręset mniejszych i większych wysp, stanowiących niejako pomost od Indyj wschodnich do Australji. Na obszarze łącznie przeszło 1,900.000 kilometrów kwadratowych żyje tam blisko 55 miljonów ludzi, w olbrzymiej większości należących do rasy malajskiej, względnie malajsko—polinezyjskiej. Rasa to rosła i piękna: skóra bronzowa w rozmaitych odcieniach, twarz owalna, nos szeroki, włosy czarne, kości policzkowe zbytnio nie wystające. Usposobienie pogodne i spokojne. Malajczyk jest, niewymagający i cierpliwy; znie sie dużo, byleby nie urazić jego godności osobistej lub nie naruszyć któregoś z niepisanych, ale od wieków obowiązujących praw, przepisów czy obrządków. Bo wtedy staje się odrazu tygrysem, — bez namysłu, bez pardonu, uderza i zabija. Straszny „Kriss" (szeroki, krzywy miecz) czy strasz niejsze jeszcze trucizny roślinne, zabijające pewnie, a nie zostawiające żadnych śladów (z rośliny zwanej „Keczubum), — to i dziś jeszcze często stosowane środki dla pozbycia się wroga.

* * *

Z początkiem siedemnastego wieku, po wyparciu kolonistów portugalskich, osiedli się na całym archipelagu Holendrzy, — którzy w roku 1798 utworzyli tam swoje państwo kolonjalne. Dzięki rozumnej polityce i administracji potrafili stopniowo pozyskać dla siebie krajowców, — tak, że od roku 1849 nie było żadnych wypadków buntu czy powstania.

I jakkolwiek opanowanie poszczególnych wysp jak np. Lombok i Bali wymagało dużych ofiar i specjalnych ekspedycyj militarnych, — to dzisiaj wystarcza na tych dwóch wyspach (liczących razem 1 i pół miljona mieszkańców) załoga, złożona zaledwie z dwustu białych żołnierzy. Bo też Holandja stosuje w odniesieniu do krajowców możliwie najrozumniejszą politykę, której zasadniczemi wytycznemi są: poszanowanie wszystkich miejscowych zwyczajów i religij, dbałość o czystość, budowa dobrych dróg i obsadzanie stanowisk administracyjnych przez wypróbowane, doborowe siły, przyczem nie pomija się i krajowców.

A co najważniejsze może: w sądach obowiązują nie ustawy i prawa europejskie — dla mentalności krajowców często niezrozumiałe i dziwaczne, lecz prawo zwyczajowe, miejscowe.

Tak np. na wyspie Bali zbrodnia krzywoprzysięstwa jest czemś zupełnie nieznanem. Formuła przysięgi obowiązująca od wieków, przewiduje wszelkie możliwe kary w tem i przyszłem życiu na tego, ktoby fałszywie przysiągł. Gdy jednak w sądzie obie strony zeznania swe, oczywiście sprzeczne, złożą pod przysięgą, — sędzia nie ma prawa dochodzić, które zeznania są fałszywe. To już nie jego rzecz, lecz bogów, które krzywoprzysięzcę odpowiednio ukarzą. Więc zapada wyrok takiej mniejwięcej treści: „Skoro obaj przeciwnicy zeznania swoje zaprzysięgli, skoro jest rzeczą nie do pomyślenia, aby człowiek przy zdrowych zmysłach mógł złożyć fałszywą przysięgę, — zatem widocznie obydwaj działali w stanie chwilowego zamroczenia umysłu, — i proces pozostaje nierozstrzygnięty".

* * *

Sercem, duszą i mózgiem całego archipelagu Sundajskiego jest Jawa. Podczas gdy największa wyspa Borneo (550 tysięcy klm. kwadr,) ma zaledwie dwa miljony mieszkańców, Sumatra około sześć, a Celebes około trzy i pół miljona, — to Jawa na obszarze 132 tysięcy kilom. kwadr. mieści zgórą osiemdziesiąt miljonów mieszkańców, — w czem zaledwie 150 do 200 tysięcy Europejczyków.

Bo też Jawa, to prawdziwy „raj na ziemi". W wielkich miastach jak Batawja czy Surabaja znajdziemy pierwszorzędne hotele, teatry, kina, olbrzymie domy eksportowe. Ale po kilkogodzinnej jeździe w głąb wyspy natrafiamy się już na plantacje kawy, herbaty, bawełny, tytoniu, trzciny cukrowej czy pieprzu... A dalej niezmierzone prerje, dziewicze lasy, pełne palm, drzew kauczukowych, chinowych, bambusów i ljanów, gdzie czai się zdradziecko straszny tygrys lub pantera, gdzie po ziemi pełzają jadowite żmije i skorpiony, a w bagnistych rzekach czyhają żarłoczne kajmany.

Ziemia tu niesłychanie żyzna, do czego przyczyniają się niemało tak licznie rozsiane po całej wyspie częściowo czynne jeszcze wulkany. Toż bezpośrednim, strasznym sąsiadem Jawy jest słynny wulkan Krakatau, którego ostatni wybuch z r. 1883 przyprawił o zgubę 40 tysięcy ludzi!

A kto nie może znieść tropikalnych upałów i wyziewów ten może doskonałą drogą w ciągu paru godzin pojechać np. do Sarangan, położonego na wysokości 1500 mtr. nad poziom morza i tam rozkoszować się czystem, chłodnem a orzeźwiającem górskiem powietrzem.

Albo zwiedzić słynny Ogród botaniczny w Buitenzorg, nie mający równego sobie w całym świecie, — gdzie ujrzy najwspanialsze okazy storczyków, palm, magnolij, lotusów, czy Victoria regia.

Albo wreszcie wybrać się na sąsiednią wyspę Bali, słynącą z urządzanych tam od czasu do czasu walk kogutów.

* * *

Walki kogutów były ongi codzienną rozrywką mieszkańców wyspy Bali, — grając taką mniejwięcej rolę, jak w Europie wyścigi z totalizatorem. Rząd holenderski, pragnąc położyć tamę temu hazardowi, zezwolił na urządzanie tych walk tylko parę razy do roku. Terminy tych walk wyczekiwane z niecierpliwością są najdonioślejszym wypadkiem w życiu krajowców.

Koguty hoduje się bardzo pieczołowicie, dając im odpowiednie, podniecające pożywienie. Do walki występują one uzbrojone w ostry jak brzytwa nożyk, przytwierdzony do nogi. Toteż walka to naprawdę na śmierć i życie, — a nierzadko zdarza się, że i zwycięzca nie przeżyje swego tryumfu. Widzami tych krwawych walk są wyłącznie mężczyźni, którzy stawiają wysokie sumy na swych faworytów. Malajczyk bowiem jest nagół lekkomyślny i ma pociąg do hazardu. Nieraz też wysprzedają cały swój skromny dobytek, krowy, świnie, ryż na pniu, byleby zabrać jak najwięcej pieniędzy i złożyć je na ręce „pedandy", kapłana, pełniącego funkcje arbitra. A ostateczny wynik tych walk (normalnie walczy 15—20 par) przynosi mu majątek, albo... ruinę.

Jeszcze jedną osobliwością Jawy są jej liczne świątynie, z których najsłynniejszą jest Borobudur, licząca sobie dobre tysiąc lat wieku, olbrzymia piramida z ociosanych kamieni, ozdobiona tysiąc pięćset płaskorzeźbami i zgórą czterystoma posągami Buddhy naturalnej wielkości.

Świątynia ta pochodzi z czasów, gdy religja buddyjska, panująca wówczas na Jawie, ustąpić musiała przed zalewem islamizmu. Wierni wyznawcy Buddhy ukryli świątynię swą przed okiem prześladowców w ten sposób, że cała ludność, dzieci, kobiety, mężczyźni znosili w koszach ziemię przez długie miesiące, zasypując stopniowo świątynię do wysokości 30 metrów. Kiedy świątynia zniknęła zupełnie pod grubą warstwą ziemi, zasadzili na niej ryż... I tak przetrwała świątynia, ziemią zasypana, aż do roku 1814, kiedy Anglik Stamford Raffles odkrył ją wreszcie, odsłaniając jej skarby dla całego świata.

* * *

Indje holenderskie są najbogatszą kolonją świata. Ryż, sago, kawa, herbata, kopra, pieprz, kauczuk, cukier, tytoń, bawełna, chinina, — to najważniejsze artykuły eksportowe.

A trzeba pamiętać, że dotychczas właściwie tylko Jawa została zupełnie wyeksploatowana, a Sumatra w małej części. A jakież skarby kryją w sobie jeszcze Celebes, Borneo i dziesiątki pomniejszych wysp? Żeby wspomnieć tylko o bogatych pokładach węgla i nafty na Borneo. Co prawda, klimat tam jest zabójczy dla Europejczyka, a dzikie plemię Dajaków odnosi się zdecydowanie wrogo do każdego intruza. Ale przy rozsądnej administracji, po osuszeniu bagien, uregulowaniu rzek i oczyszczeniu dżungli będzie można stopniowo przystąpić do eksploatacji i tych dziewiczych dotąd, a bezcennych terenów. **(K. r.)**



Oryginalne sarkofagi w kształcie pustych drewnianych wołów, w ktore składa się zwłoki celem spalenia

—:-:—



Orkiestra tuziemców z typowemi instrumentami zwanemi „gamelan"

—:-:—



Typowy krajobraz z Jawy: pole ryżowe



Aktor malajski w roli „Króla demonów"

List z Paryża

Czy miejsce klęski Cezara? — Autografy dramaturgów. — Ku wzorom starożytnym i średniowiecznym. — Kłopoty pana prefekta policji.

Prace archeologów oddają nieocenione zasługi historji, mieraz obalając fakta, które powtarzano przez długie wieki, lub wyjaśniając zagadnienia, których nikt przedtem nie umiał rozwiązać. Lecz zazwyczaj, aby dojść do rzeczywiście wartościowych odkryć, trzeba pracy, ciągnącej się latami, i olbrzymich kosztów. Rzadko zdarza si eto, co donoszą z Owernji. Jeden człowiek przy wyłącznej pomocy swej rodziny wydobył z pyłu zapomnienia duże miasto, które zapewne odegrało bardzo ważną rolę w przełomowym momencie historycznym. Praca zabrała około roku.

Kto w szkole ślęczał nad „Wojną gallicką" Cezara, ten przypomni sobie szereg rozdziałów, poświęconych długim i zawziętym walkom pod Gergowją. Było to podczas ogólnego powstania świeżo pobitych Gallów pod wodzą dzielnego Wercyngetoryksa, któremu Francuzi dziś jeszcze stawiają pomniki jako swemu pierwszemu historycznemu bohaterowi i patrjocie. W książce Juljusza Cezara widać tendencję do zmniejszenia rozmiarów klęski, poniesionej podczas walk oblężniczych, był to jednak znaczny tryumf powstańców nad najeźdźcą. Niestety jakość wojska rzymskiego i genjusz Cezara rozstrzygnęły na jego rzecz walki pod Alezją i podbój kraju stał się faktem dokonanym...

Sądzono powszechnie, że Gergowja znikła zupełnie z powierzchni ziemi, a leżała w odległości mniej więcej 7 i pół km. od dzisiejszego miasta Clermont - Ferrand. Tego zdania był i Napoleon III., który szczęśliwszy, niż w wojnie i polityce, był w swych badaniach nad gallickiemi kampanjami Cezara. Tymczasem pokazuje się, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Gergowja Auwernów wznosiła się o 3 km. od Clermont - Ferrand i niezupełnie znikła z powierzchni ziemi.

Zachowała się mianowicie znaczna część jej prymitywnych 1500 domków z kamienia, nie spajanego wapnem i resztki murów, dochodzące do wysokości 7 metrów. Ruiny te pokryte były gęstemi zaroślami i stąd w lecie zupełnie niewidoczne, w zimie zaś klimat wyżyny owerniackiej odstraszał badaczy.

Na resztki prastarego miasta zwrócił dopiero uwagę zarządca muzeum w Clermont - Ferrnd. p. Maurice Buset, człowiek w średnim wieku, który był lotnikiem w czasie wielkiej wojny. Energicznie wziął się do pracy, poświęcając jej każdą wolną chwilę i dziś, po oczyszczeniu ruin są one dobrze widoczne i nadają się do zwiedzania. P. Buset jest przekonany, że mylili się Napoleon III. oraz inni badacze, a odkryty obecnie gród to Gergowja.

Wróćmy z Owernji do Paryża i od archeologji czy historji przejdźmy do sceny i poezji. W kilku teatrach tutejszych wprowadzono ciekawą innowację. Jeden z antraktów trwa dłużej, niż inne, i każdy widz podczas niego ma prawo podejść do siedzącego w loży autora sztuki, który podpisuje się na jego programie. Pomysł nasunęły prawdopodobnie modne obecnie egzemplarze książek z własnoręcznemi podpisami autorów.

Zwyczaj podoba się ogólnie i przyczynia się do popularności dramaturgów, którzy przy tej sposobności nawiązują osobisty kontakt z publicznością, słuchają jej uwag, udzielają wyjaśnień — i może zbierają wzorki do następnego utworu. U widzów działa znowu snobizm, gdyż niejednemu pochlebia osobista, choć przelotna znajomość ze znanym pisarzem dramatycznym. Zwyczaj wprowadzili pp. Yvan Noé i André Rivollet, współ autorzy jednej ze sztuk, granych obecnie.

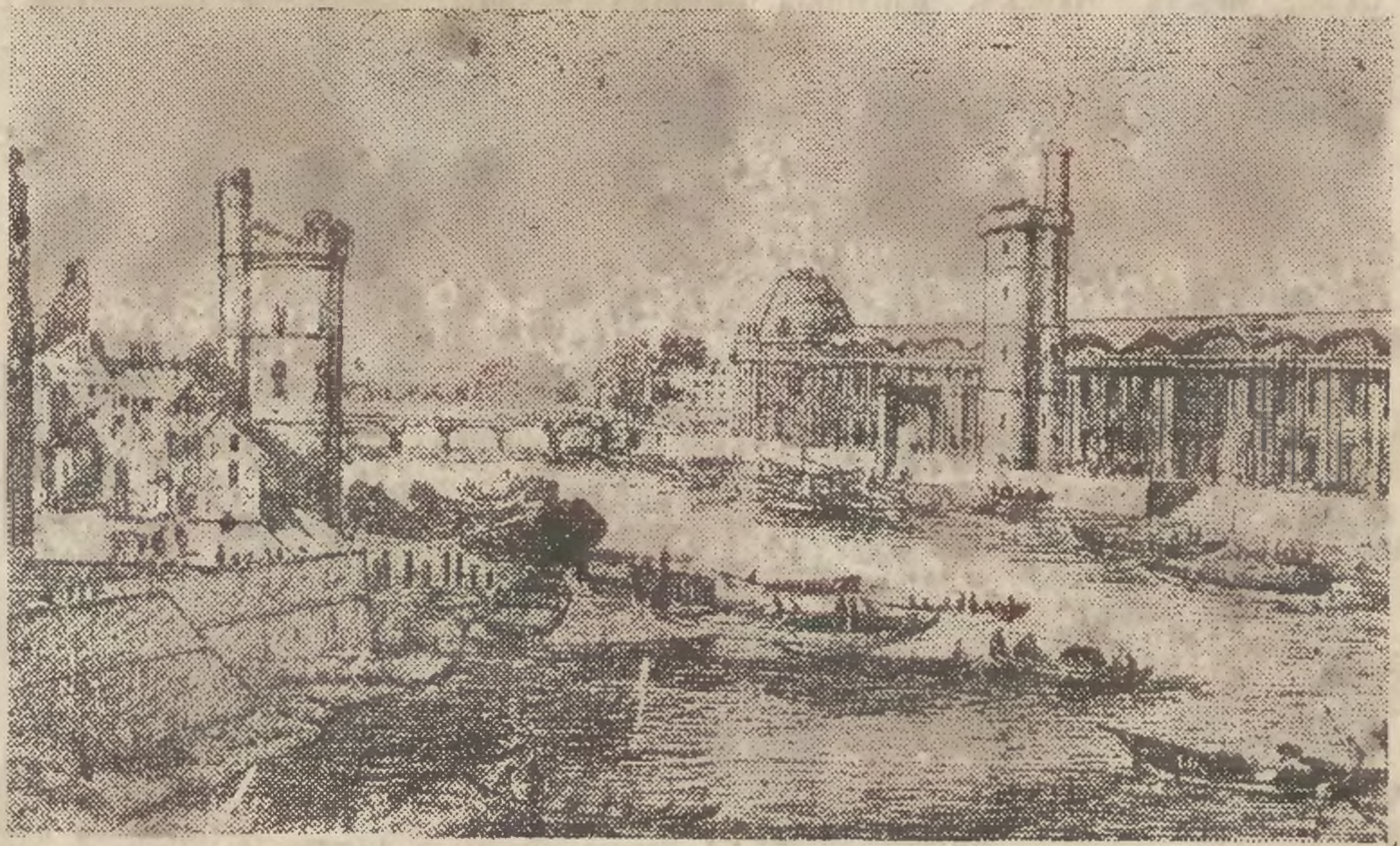
Na inny pomysł wpadł p. René Fauchois, również dramaturg. Zwrócił on uwagę na stosunkowo małe zainteresowanie szerokich mas poezją. Pochodzi ono zdaniem pana Fauchois stąd, że wiersz drukowany nie przemawia do słuchu, do poczucia rytmu i rymu. Inaczej było za dawnych czasów, kiedy grecki pieśniarz recytował Homera przy wtórze lutni lub truwer zachwycał średniowieczne damy swemi *chansons de geste*. Trzeba więc wrócić do starej praktyki. P. Fauchois proponuje, aby przerwę między przedostatnim a ostatnim aktem sztuki wypełniała deklamacja. Jeżeli zbyt drukowanych poezji jest słaby, trzeba przed publicznością stanąć z żywem słowem, a niektóre wiersze staną się wkrótce tak popularne, jak melodje, które przez pewien okres czasu miewa na ustach cały Paryż.

A teraz zstąpmy do prozy dnia powszedniego. Energiczny prefekt policji paryskiej p. Chiappe ma poważny kłopot z ruchem ulicznym i hałasami ulicznemi. Kiedy na miejscu dawnych fortyfikacyj rozsiadły się nowe eleganckie bulwary, osiedliło się tam wielu ludzi, spragnionych ciszy. Przez jakiś czas nie mogli się uskarżać. Lecz szerokie arterje komunikacyjne, gdzie łatwo się wymijać, pociągały również automobilistów i szoferów wozów ciężarowych. Szczególnie te dobrze naładowane kolosy wstrząsają poprostu posadami domów i przepełniają powietrze turkotem.

Mieszkańcy bulwarów pofortyfikacyjnych zwrócili się do prefektury policji, żądając, aby zaradziła złemu. P. Chiappe wziął się do rzeczy metodycznie. Zbadał naprzód zasady, regulujące ruch uliczny w Londynie, i doszedł do przekonania, że tam jest ciszej. Wynika to z obyczajów. Policjant angielski tylko w wyjątkowym wypadku używa świstawki, a jeszcze rzadziej krzyczy. Szofer angielski, zatrzymany, zaklnie czasem pod nosem. Tymczasem w Paryżu wszystko to odbywa się wśród rozgłośnych nawoływań i piekielnej wrzawy.

Obecnie studjuje p. Chiappe płyty gramofonowe, reprodukujące ten sabat djabelski w różnych punktach Paryża. W najbliższym czasie ogłosi nowe przepisy, które może chociaż częściowo usuną plagę, a w każdym razie rozłożą ją sprawiedliwiej na mieszkańców całego miasta.

N. P.



Louvre i wieża de Nesle. Stary Paryż według sztychu Israela'a Silvestre'a.

Wyprawa na Radziwiłłów w 1863 r.

W dodatku niedzielnym do Kurjera Lwowskiego z dnia 5. 2. 1933 w artykule „Głos Weterana„ zakradła się nieścisłość w przedstawieniu faktów epizodu wyprawy na Radziwiłłów 1863 roku, z ujmą dla dobrego imienia jednego z dowódców trzech skoordynowanych oddziałów, Miniewskiego, Horodyńskiego i jenerała Wysockiego, autor mianowicie twierdzi, że tylko oddział Wysockiego stawił się pod Radziwiłłowem, a tamte dwa wogóle się nie stawiły.

W pamiętniku z powstania 1863 r. Pan Tomisław Jordan Rozwadowski, uczestnik tej wyprawy w oddziale Horodyńskiego, jako dowódca oddziału jazdy, twierdzi, że te trzy oddziały pod ogólnem kierownictwem jen. Wysockiego, miały rozkaz o 5 rano stawić się pod Radziwiłłowem, a o 7 miał nastąpić atak na Radziwiłłów.

Zbieranie się wzdłuż granicy oddziałów, rozrzuconych po drodze obszernej połaci kraju, było bardzo trudne tak dla nadzoru jak i formowania ich, tembardziej, że zakradły się już były różne elementy do formacji, których celem było wyłudzanie zadatków pieniężnych, ubrań i broni, by następnie zniknąć z oddziału a spieniężywszy otrzymane rzeczy, ten sam proceder w innym oddziele uprawiać. — Uzbrojenie trafiało na bardzo poważne trudności, pominąw szy brak broni palnej, ale z tego co dostarczono, pozakopywano pojedyncze części karabinów w rozmaitych miejscach w lasach, by utrudnić władzom nieprzyjaznym poszukiwania. Przy odkopywaniu nie znajdywano pasujących części do posiadanych już lub natrafiano na w międzyczasie przez zdradę opróżnione składy, tak, że do łożysk nie znajdywano luf lub zamków, a wielu nieposiadało nawet kos lub dzid wogóle, co wpływało ujemnie na wartość bojową oddziału i działało deprymująco na ducha.

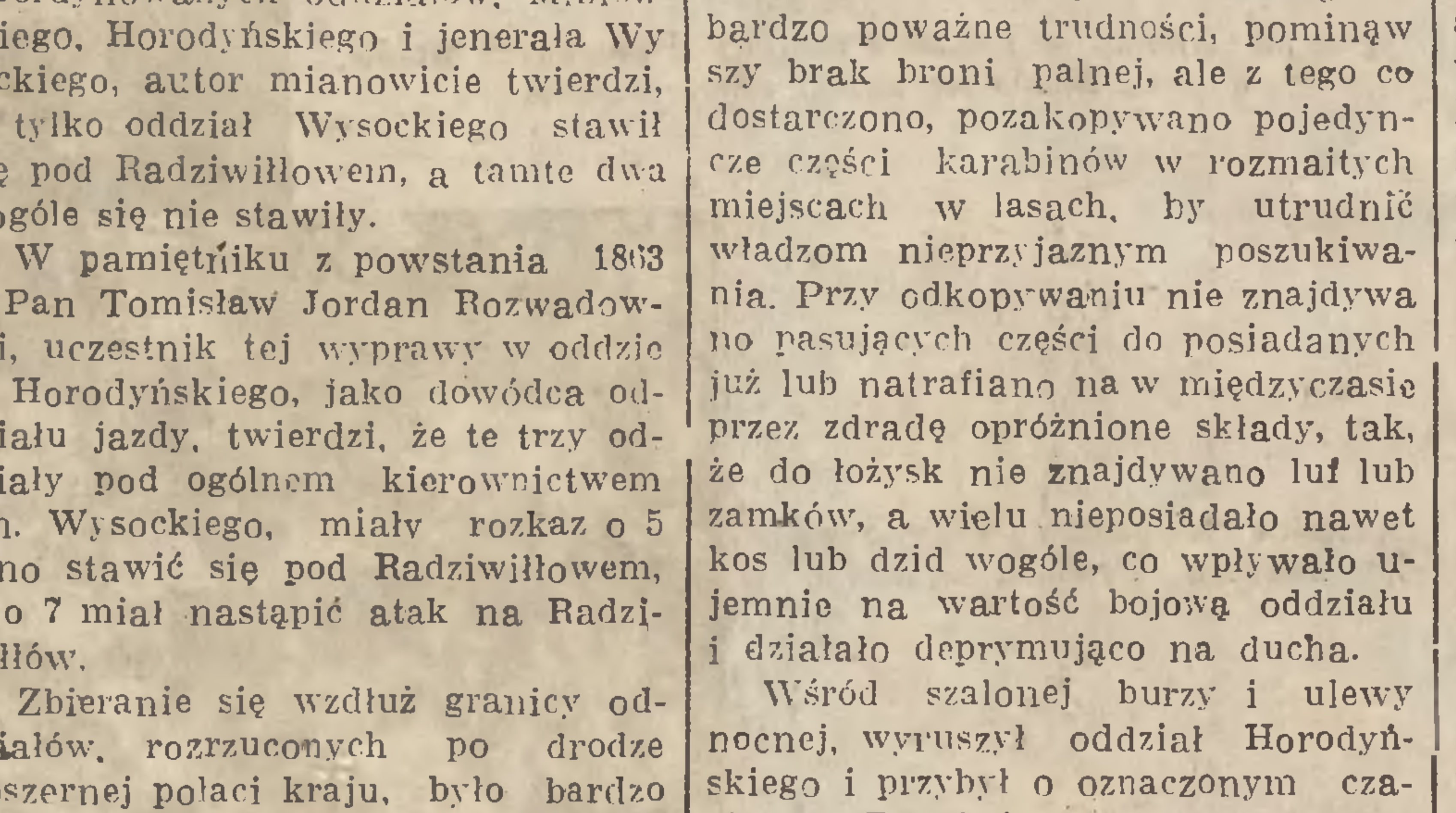
Wśród szalonej burzy i ulewy nocnej, wyruszył oddział Horodyńskiego i przybył o oznaczonym czasie pod Radziwiłłów, a gdy patrole jazdy wysłane, by nawiązać łączność z oddziałami Miniewskiego i Wysockiego powróciły, meldując, że tamtych oddziałów nie zdołały odszukać, odezwał się Horodyński z gniewem: „To znowu intrygi kliki! Zakroiła na to, by mój honor starego żołnierza skalać! życie mogę tu stracić, ale honoru niestracę!„ — i po wypoczęciu oddziału dał rozkaz do ataku na Radziwiłłowa, co uskutecznił wysyłając przodem dwa łańcuchy tyraljerów, które popod domostwa przedmieścia posuwały się pod ogniem ukrytych po domach Moskali ku kasarni, za niemi reszta oddziału w kolumnie plutonowej, a przy pierwszym plutonie pułk. Horodyński z adjutantem. — Moskale dopuściwszy ich na jakich 200 kroków dali kilka salw, a trafiony w piersi pułk. Horodyński zsunął się z konia, — a oddział poniósłszy znaczne straty musiał się przed znacznie silniejszą obsadą Moskali wycofać, zasłaniany ofiarnie tylną strażą pod kapitanem Domagalskim, by niebawem przekroczyć granice.

Oddział jenerała Wysockiego przybył dopiero około 9-tej rano pod Radziwiłłów, gdy już oddział Horodyńskiego rozbity był ustąpił, a wymieniwszy kilkadziesiąt strzałów usunął się.

Oddział Miniewskiego wogóle z nieznanych powodów niestawił się na placu.

Z tego wynika, że twierdzenie jakoby Horodyński się nie stawił, jest mylnem, gdyż właśnie oddział Horodyńskiego był **jedynym**, który się w **oznaczonej** godzinie stawił i Radziwiłłów zaatakował, przyczem dowódca swem życiem to nieulane przedsięwzięcie przepłacił, co należy dla ustalenia prawdziwości wydarzeń upamiętnić.

Wiktor Jordan Rozwadowski



„Żywy kwiat" utworzony na popisie jednej z wzorowych drużyn gimnastycznych

Tajemnica Morawskiego Krasu

NOWE WYNIKI BADAŃ CZECHOSŁOWACKIEGO GEOLOGA PROF. ABSALONA NA MACOSZE. — WYCZERPANA RZEKA PODZIEMNA. — ODKRYCIE NOWYCH PODZIEMNYCH JASKIŃ STYLAKTYTOWYCH. — „DANTEGO PIEKŁO" OTWARTE.



U góry: Współpracownicy prof. Absolona: od lewej ku prawej Divisek, Suchanek, Brandstätter

—



Obok: Montowanie potężnych pomp „Nautilus"

Niedaleko głównego miasta Moraw, Brna, pod skalistym pagórkiem stoi mała stacyjka kolejowa. Chociaż opodal leży tylko małe miasteczko, przecież na stacji tej zatrzymują się nawet pociągi międzynarodowe. Oficjalnie stacja ta nosi nazwę miasteczka Blansko, ale na peronie obok tej nazwy czytać można nazwę inną, może bardziej znaną: Macocha.

— Pojedziemy na Macochę — mówią tysiące turystów w Czechosłowacji a w kasach dworcowych zakupują bilety do stacji Blansko, skąd do podziemnych grót stalaktytowych prowadzi bezpośrednia linja autobusowa. Przez lasy, pomiędzy wysokiemi skałami prowadzi droga do małego domku turystycznego, w pobliżu którego znajdują się niskie wejścia do podziemi. Ponure wrażenie opanowuje turystę, kiedy z skłonioną głową przechodzi do zimnego, wilgotnego tunelu, by za kilka minut ochłonąć z tego ponurego wrażenia i dać wyraz zachwytom. Promienie światła elektrycznego jasno oświetlają przestrzenie z czarująco pięknemi stalaktytami i stalagmitami, słupy wybudowane przez naturę, podpierają kamienisty dach wysokości kilkudziesięciu metrów.

W podziemiach Macochy znajdują się wielkie sale, piękne balkony, naturalne wodotryski i wodospady, jest tam swoista architektura, swoista skamieniała flora: drzewa z stalaktytowej masy, jakby zaczarowane spokojnie stoją tu przez długie wieki, figury, wytworzone przez przyrodę z kamienia, przypominają bajkę o śpiącej piękności. Kilka godzin można przechadzać się w tych podziemiach wśród niemego piękna.

Długie lata myślano, że wszystkie tajemnice Macochy i podziemnej rzeki Punkwy, która przepływa przez te stylaktytowe przestrzenie blisko głównej sali Macochy są już odkryte. Obecnie jednak okazuje się, że ziemia nasza posiada jeszcze dużo tajemnic, że jeszcze dużo w podziemiach można odkryć.

Fantastycznym wprost odkrywcą tych tajemnic podziemi jest znany czechosłowacki geolog prof. Absalon z Brna. Krok za krokiem, metr po metrze, jedną jaskinię po drugiej bada ten niestrudzony uczony. Warunki atmosferyczne ostatniej jesieni nadzwyczaj sprzyjały jego pracy odkrywczej. Badania mogły być prowadzone aż do grudnia a trudna ta praca przyniosła wspaniałe owoce. Odkryte zostały nowe jaskinie, nowe podziemne wejścia, dokonano cennych odkryć tak dla nauki, jak i dla turystyki.

Celem badań prof. Absalona w okolicach Macochy było znaleźć połączenie pomiędzy jaskiniami Macochy tak, aby z podziemia rzeki Punkwy można było wytworzyć drogę, a zarazem, aby udostępnione zostały nowe przestrzenie, które dotychczas zalane były wodami tej rzeki.

Aby obniżyć poziom wody rzeki Punkwy, wybudowano tunel, którym woda odpływała. Poziom rzeki rzeczywiście opadł o 6 metrów i profesorowi Absalonowi udało się po raz pierwszy dotrzeć do wielkich jaskiń z dna Macochy w kierunku źródła Punkwy. Przy dalszych pracach okazało się, że należy jeszcze bardziej obniżyć poziom wody, aby było można zbadać gruntownie odkryte nowe groty. Aby to osiągnąć, zainstalowano w podziemiach wielkie pompy, które wyczerpywały wodę Punkwy. W pierwszym dniu wyczerpano w ten sposób około 6 miljonów litrów wody, dzięki czemu prof. Absalonowi udało się wniknąć do niedostępnych dotychczas grot, które odkrywca nazwał „Piekłem Dantego". Po dokonaniu tych odkryć spodziewać się można odkrycia dalszych przestrzeni w kierunku Słupskich Jaskiń, oddalonych od Macochy w prostej linji o 5 km. Wyprawa wyruszyła w tę stronę uwolnionym od wody tunelem aż do miejsca, gdzie czerpano wodę i słuchem stwierdzono, że łoskot maszyn przenosi się przez dotychczas nieznane przestrzenie do tego tunelu. To odkrycie było niespodzianką. Dotychczas bowiem myślano powszechnie, że ściana przepaści Macochy stanowi zakończenie skalnego masywu. Ale obecnie stwierdzono, że jest to tylko 6 metrów szeroka masywna przegroda oddzielająca dotychczas nieznane groty od grót zwiedzanych obecnie.

Nie da się przewidzieć, jakie odkrycia tu będą jeszcze dokonane. Wodą z małego jeziorka na dnie Macochy wyczerpuje się, poziom jeziorka opada, a równocześnie czyni się przygotowania do badania bezdennego kanału, który dotychczas nie jest dostatecznie znany. W tej wąskiej grocie nieznanej głębokości znajduje się ciało dziewczyny, która w r. 1924 rzuciła się w samobójczym zamiarze w tę przepaść. Dotychczas nie udało się jej odnaleźć, chociaż pomocnik prof. Absalona, Diviszek w nurkowym skafandrze zanurzy się 32 metrów głęboko.

Odkrycia nowych tajemnic Macochy budzą wielkie zainteresowanie a nowoodkryte groty stalaktytowe i stalagmitowe przyciągać będą olbrzymie rzesze turystów nietylko z Czechosłowacji, ale i z zagranicy.

—:—

W kole: prof. Dr. K. Absolon





U góry: Tymczasowe wejście do nowoodkrytych grot.

—:—

Obok: Pompy „Nautilus" przy pracy.

Tam, gdzie mieszka Paderewski...

Na opadającym ku jezioru Lemańskiemu zboczu, rozłożone do słońca niczem winnica, leży małe miasteczko kantonu Wand — Morges. Kilka razy na dzień przelatują przez małą stacyjkę pociągi pośpieszne, idące z Lozanny do Genewy a do białej, przytulnej przystani zawijają statki, rozkrzyczane tłumami podróżnych i dźwiękami orkiestry.

Pozatem w Morges jest cicho i spokojnie. Czasem tylko wpadają gromady angielskich turystów, którzy natychmiast jadą dalej ku Nyon, czy Genewie. Na wąskich uliczkach snują się nieliczni przechodnie. Śpi spokojnie stary arsenał i małe, lśniące dobrobytem i czystością uliczki. Na terasach kawiarń pod czerwonemi płachtami ciągną swoje „aperitiv" starsi panowie. Niema rozkrzyczanych gardłowo tłumów, kraciasto ubranych Anglików pobliskiego Vevey, czy Montreaux, lub gromad krótkostrzyżonych niemieckich studentów Bazylei czy Zurichu.

Cicho szemrze lazurowe jezioro. A gdy niema mgły i słońce wyzłaca leżące, gdzieś daleko pokryte wiecznym śniegiem szczyty, wśród których króluje ledwie widoczny stad Mont-Blanc, wówczas to widać doskonale francuski brzeg jeziora i rozrzucone nań, liczne letniska Sabaudji.

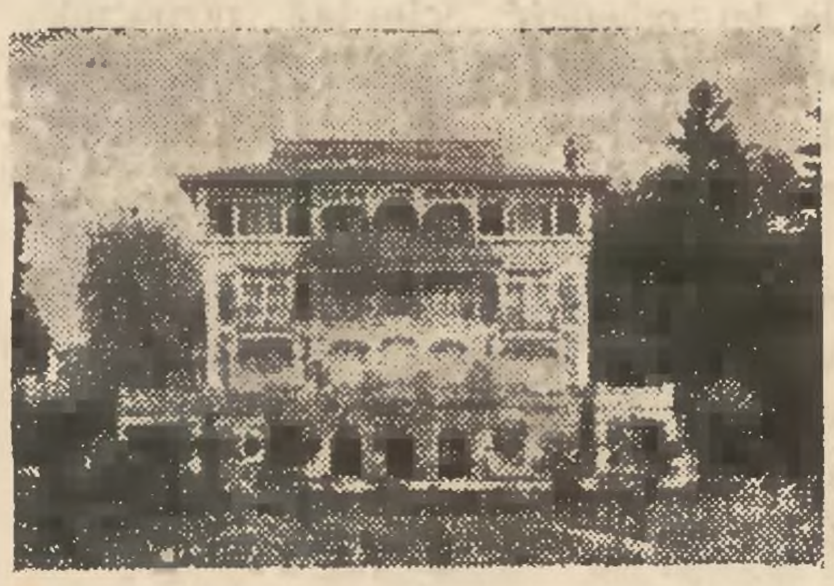
Ale czasem ciche miasteczko ożywia się. Poprzez uliczki suną jedne za drugiemi wytworne limuzyny, lub na stacji wysiadają jadący z Lozanny, czy Genewy wytworni goście. Przejeżdżają przez Morges i jadą dalej szeroką drogą pod górę, ku za-

łożonej na miejscu rzymskiej osady — wiosce Tolochenaz.

Gdzieś w połowie drogi limuzyny i wytworni goście zjeżdżali ku wielkiemu, cienistemu parkowi troskliwie ukrywającemu willę Riond Bosson — chlubę Morges i okolicy, przed oczyma profanów. Słusznie zresztą szczycą się mieszkańcy Morges tą willą, dzięki której miasteczko ich znane jest w całym kulturalnym świecie, gdyż mieszka w niem jeden z najwybitniejszych ludzi współczesnej epoki — Mistrz, Ignacy Paderewski.

Czasem, gdy jest cisza, a biała szosa nie pędzą rozkrzyczane motorami samochody, poprzez szum starych drzew parku słychać płynące zoddali tony fortepianu. „C'est Paderesky" — mówią robotnicy, pracujący w pobliskiej winnicy, przytykającej do muru parkowego. I porzuciwszy robotę stoją chciwie łowiąc słabe tony fortepianu.

Są wówczas, pomimo niebieskich fartuchów i brudnych od czarnej ziemi winnicy rąk, podobni do tysięcznych tłumów błyszczących białemi



Willa Paderewskiego

gorsami fraków i wieczorowemi sukniami, wypełniających sale Londynu, Brukseli, Paryża, Nev-Yorku, Chicago, San Francisko, czy Miami. Przykuwa i unieruchamia jednych i drugich czar tonów, płynących z pod palców Paderewskiego.

I chociaż nie jest On ambasadorem reprezentującym Polskę, w którymś z krajów świata, to jednak dzięki swemu genjalnemu talentowi cieszy się on niemniejszą czcią i poważaniem, niż reprezentanci dyplomatyczni.

Mieszkańcy okolic willi Riond-Bosson znają doskonale starszego, siwawego, wytwornego pana, przechadzającego się po parku, podczas swych pobytów wypoczynkowych w Morges. Potem nagle willa cichnie, ustają spacery i wizyty, tylko za pośrednictwem białych płacht gazet przychodzą do Morges wieści o nowych, jakże świetnych, sukcesach, odnoszonych przez ich wielkiego sąsiada, w salach koncertowych Europy czy Ameryki.



Ogólny widok Morges

Jest jeden dzień w roku, kiedy wielki park ożywia się. Błyskają race sztucznych ogni, willa jaśnieje licznemi światłami, a wiatr niesie rozmowy. Dniem tym jest 19 sierpnia — dzień imienin małżonki Mistrza. A potem nastają znów ciche, spokojne dni.

Willa Riond-Bosson stoi samotnie, twarzą obrócona ku błękitnej tafli Lemanu i łańcuchowi Alp. Ale samotną nie jest, gdyż myślami i spojrzeniami zwracają się ku niej Polacy rozsiani na całej kuli ziemskiej, wielbiąc genjusz talentu Paderewskiego. Płyną one z robotniczych przedmieść miast olbrzymów Stanów Zjednoczonych, chińskich miast Dalekiego Zachodu, osad Kurytyby, czy piasków Mazowsza, lub lasu hut Śląska.

Myśli i spojrzenia skupiają się wokół Paderewskiego-ambasadora bez teki, człowieka który potęgę ducha i kultury polskiej rozsławił na całym świecie. I stare drzewa parkowe, które tyle razy słyszały szum lasów polskich zawartych w melodjach Chopina, Paderewskiego, czy Moniuszki szemrzą wieczorami, jak nasze osiki, graby czy dęby pragnąc, aby mieszkańcom willi wydawało się, iż są w dalekiej Polsce...

j. red.

Nowości z przyrody i techniki

Oświetlanie ulic światłem sodowem. — Praktyczne zastosowanie lekkich metali

Laikowi może się wydawać, że nasze współczesne urządzenia techniczne stoją na bardzo wysokim poziomie, że ich świadczenia z punktu widzenia ekonomicznego są całkowicie zadawalniające. Inaczej patrzy na te sprawy technik. Jego zdaniem cały szereg urządzeń technicznych, rozpatrywanych z punktu widzenia ekonomiki energji, wymaga ulepszenia. Ulepszenia te winne sprowadzić do minimum straty występujące obecnie przy zamianie jednego rodzaju energji na drugi, potrzebnej nam do ściśle określonego celu. Np. przy zamianie prądu elektrycznego na światło, tylko ułamek całkowitej energji elektrycznej, doprowadzonej do żarówki przemienia sięś w wiatło, reszta zaś ulega rozproszeniu wskutek przemiany na ciepło.

W ostatnich latach starano się usunąć tę wadę elektrycznych lamp żarowych i łukowych przez zastosowanie świecących zimno gazów i par metali. To tak zwane „zimne światło" rzeczywiście dało bardzo korzystne wyniki ekonomiczne, zapobiegając rozpraszaniu się energji elektrycznej, wskutek przemiany na ciepło.

W niektórych lampach zimnych świecą słabo ogrzane pary pierwiastka sodu, który, jak wiadomo, świeci jasno żółtem światłem. Ostatnio z lampami sodowemi przeprowadzono w Holandji próby przy oświetleniu ulic.

Okazało się, że tego rodzaju ściśle jednobarwne światło zastosowane do oświetlenia ulicy, utrudnia rozróżnianie barw. Jednakże przy oświetlaniu szos automobilowych powyższa wada nie posiada wielkiego znaczenia, gdyż przy ruchu automobilowym w nocy, chodzi nie o barwę przedmiotów, ale o możliwie najostrzejsze podkreślanie ich konturów, i właśnie dzięki jednobarwnemu oświetleniu, da się to osiągnąć w znacznie silniejszym stopniu aniżeli przy pomocy światła białego, wielobarwnego.

To silniejsze i wyraźniejsze zarysowanie się kształtów przedmiotu, oświetlonego światłem jednobarwnem, jest następstwem tego, żeż światło wielobrawne, białe, załamując się w soczewce danego oka, nie daje na siatkówce bardzo wyraźnego, gdyż każdy rodzaj światła, wchodzący w skład światła białego, inaczej się w soczewce załamuje, natomiast przy oświetleniu światłem jednobarwnem ta wada oka odpada i obraz na siatkówce jest wyraźny, niezamazany.

Lampy sodowe posiadają jeszcze jedną wadę: jasność ich jest znacznie mniejsza od lamp będących powszechnie w użyciu.

Czy lampy sodowe wejdą w użycie przy oświetlaniu szos automobilowych, będzie to zależeć od wyniku dalszych prób, przeprowadzanych na większą skalę i na dłuższej przestrzeni czasu.

Tak jak technika oświetlenia szuka coraz doskonalszych sposobów wytwarzania światła sztucznego, podobnie technika konstrukcyjna usiłuje wprowadzić coraz to nowe stopy i metale jako tworzywo konstrukcyjne. Tutaj kładzie się specjalny nacisk na t. zw. metale i stopy lekkie.

Do grupy metali lekkich, które obok glinu, znajdują dziś coraz szersze zastosowanie, należą bar i lit.

Lit jest jednym z najlżejszych metali lekkich i posiada bardzo cenne własności: nadaje się do obróbki mechanicznej, nie jest kruchy i stosunkowo wytrzymały. Niestety, mimo tak wielkich zalet, nie miał większego praktycznego zastosowania, a to z powodu wysokiej ceny. Obecnie metal ten, znajdujący dotychczas zastosowanie jedynie w przemyśle chemiczno - technicznym, bedzie mógł być zastosowany na szeroką skalę w technice, a to z powodu wykrycia nowych pokładów tego cennego pierwiastka. Nowozdobyte pokłady znajdują się w Ontario, Manitoba i Dakota w Ameryce Półn.

Drugim, bardzo cennym metalem lekkim, jest bar o ciężarze wł. 3.6. Ma on już praktyczne zastosowanie w technice. Mianowicie jako stop z niklem używany jest do wyrobu części urządzeń zapłonowych w automobilach. Niestety, szerszemu zastosowaniu baru dla celów technicznych stoją na przeszkodzie wielkie trudności przy otrzymywaniu go w stanie czystym. Obecnie prowadzi się bardzo intensywne badania, mające na celu usunięcie tych trudności.

B.

CIEKAWOSTKI ZE SWIATA

Tak źle i tak niedobrze

Republika hiszpańska przystąpiła do konfiskaty dóbr hrabiego Romanones, jako byłego granda. Zagrożony utratą majątku hrabia zwrócił rządowi uwagę, że nigdy nie korzystał z przywilejów swego stanu. Na to dowiedziono mu, że pewnego razu stanął przed królem w kapeluszu na głowie — co jak wiadomo, wolno było tylko grandom. Wątpić należy, aby biednemu hrabiemu mogło na coś przydać się wykazanie, że podczas pamiętnej audjencji zjął kapelusz...

Miss Francja wychodzi za mąż

Pna Lina de Sousa, która zeszłego roku zdobyła tytuł francuskiej królowy piękności, wychodzi za pana Simount, deputowanego z Bergerat w departamencie Dordonne. P. Simount zamierza podróż poślubną połączyć z objazdem swego okręgu wyborczego.

Ospa w Indjach

Gdy w Anglji i w Niemczech sroży się grypa, szereg prowincyj indyjskich cierpi z powodu ospy. W ciągu tygodnia, który skończył się 21 stycznia, było w Bombaju 199 wypadków, z tego 85 śmiertelnych. Lekarze prowadzą energicznie akcję szczepienia.

Wezuwjusz grozi!

W ostatnich dniach w okolicach Wezuwjusza odczuto parokrotnie silne wstrząśnienia Jedno z nich złamało wskazówkę sejsmografu w obserwatorjum, którego kierownik prof. Malladra przypuszcza, możliwość silnego wybuchu na wiosnę. Zachodzi obawa, że w Neapolu zawali się dużo domów, których fundamenta popękały podczas trzęsienia ziemi w r. 1930.

Katarakta uleczalna!

Profesor okulistyki na uniwersytecie w Odessie Filatow wynalazł sposób leczenia katarakty, polegający na przeszczepieniu do chorego oka rogówki z oka świeżo zmarłego człowieka. Proby z rogówką zwierzęcą nie dały rezultatu. Operacja trwa zaledwie 5 minut. Następuje po niej mniej więcej dziewięciomisięczny okres walki zdrowej tkanki ze zniszczoną przez chorobę rogówkę. Szanse wyleczenia są jak 1:3, mianowicie na 96 operacyj prof. Filatowa 24 doprowadziło do usunięcia katarakty.

Resztki przemysłu domowego w Niemczech

W wysoce uprzemysłowionych krajach przemysł domowy należy do przeszłości. A jednak jeszcze gdzieniegdzie utrzymuje się ręczny i indywidualny wyrób pewnych przedmiotów, zwłaszcza o ile potrzebna jakość daje im tylko właśnie ten sposób produkcji. W całym szeregu miejscowości południowej Bawarji, a także w Turyngji ludzie, którzy latem pracują jako cieśle, pasterze lub przewodnicy alpejscy, zajmują się kuciem gwoździ. Nie uznają naturalnie 8-godzinnego dnia pracy i dzięki temu w ciągu jednej doby produkują do 1 i pół tysiąca ćwieków, nadających się dzięki swej twardości do podkuwania butów turystycznych. Rynkami zbytu są — prócz najbliższych okolic — Szwajcarja i Austrja. Kuźnie tych rzemieślników mają mniej więcej taki wygląd, jak przed 150 laty

Ze świata filmu



Marjusz Maszyński, bohater filmu „Każdemu wolno kochać", reżyserji Janusza Warneckiego i W. Szebeki.



Słynna artystka filmowa Lili Dagover jedzie samolotem na premjerę swego filmu.

MICHAŁ ZOSZCZENKO

„Zakazana droga"

(Humoreska)

Jechałem raz rowerem. Mam niezły rower, angielskiej marki. Szkoda tylko, że koła niezupełnie dopasowane.. jedno angielskie, drugie niemieckie. A kierownica z fabryki rosyjskiej... Ale ostatecznie można na nim jeździć, — o ile jest sucho.

Otóż jadę raz rowerem. Śliczny park, trawniki, aleje i jadę sobie prosto wesoły, zadowolony. Ptaszki świergocą, tam znów wrona dziobie coś wśród śmietnika, piesek szczeka. Tak mi dobrze i lekko na sercu! Świat jest piękny, — ludzie dobrzy zacni, kochani. Wszystkich bym przytulił do serca, — albo zaprosił do kuchni ludowej i potraktował obiadem.

Nagle słyszę ostry gwizd.

— Oho, — myślę sobie, — ktoś naruszył przepisy, z pewnością wjechał na zakazaną drogę. Ale w przyszłości coś podobnego już się nie zdarzy. Nie będziemy słyszeli takich ostrych, obraźliwych świstów, rozbrzmiewających dziś po całej Rosji.

Znowu ostry świst, jakieś krzyki i wymyślania.

— I to czasem zniknie, — rozmyślam dalej, — ludzi przestaną tak krzyczeć i wymyślać grubjańsko.

Ktoś biegnie za mną i ryczy ochrypłym głosem:

— Czegbo mi uciekasz, ty sobako" — Staniesz, czy nie?

— Kogoś gonią widocznie, — myślę sobie i jadę spokojnie dalej.

— Lioszka! — krzyczy ktoś — zajdź mu z boku, temu huncwotowi!

Patrzę, — z lewej strony biegnie jakiś chłop, w ręku trzyma potężny kij. Obracam głowę: aleją pędzi starszy już siwy dozorca i ryczy co sił:

— Łapajcie go! Trzymajcie! Lioszka, pilnujcie go!

Lioszka zamachnął się i rzuca kij wprost pod mój rower.

Teraz dopiero orjentuję się, że to o mnie idzie. Zeskakuję z roweru, stoję i czekam spokojnie.

Nadbiega dozorca, zachrypnięty, zadyszany:

— Trzymajcie go! — krzyczy.

Nadbiega jakich dziesięciu ludzi. Rzucają się na mnie, chwytają za ręce, wykręcają mi boleśnie ramiona.

— Ludzie kochani! — mówię — czego chcecie? Czyście wszyscy powarjowali razem z tym idjotą dozorcą?

— Jak ci dam w pysk, — odzywa się dozorca, — to ci zaraz odechce się obrażać mnie podczas urzędowania!... Trzymajcie go mocniej, żeby nie uciekł!

— Ludzi przybywa coraz więcej. — Ktoś woła:

— Co on właściwie zawinił?

— Moi ludzie, — odpowiada dozorca, — mam 50 lat... zgoniłem się prawie na śmierć... A wszystko przez tego łotra!... Jechał zakazaną drogą... po tej alei na rowerze nie można jeździć... Gwiżdżę na niego... on nic, jedzie dalej, chce uciekać! Szczęście, że Lioszka rzucił na niego kijem.

Lioszka przeciska się przez tłum, łapie mnie swemi pazurami za rękę i mówi:

— Celowałem w rękę. Chciałem mu przynajmniej rękę złamać, żeby nie mógł jechać dalej.

— Ależ człowieku, — perswaduję mu, — nie wiedziałem zupełnie, że ta droga jest zamknięta. I nie zamierzałem wcale uciekać.

— A jakże! — wtrąca dozorca, — nie chciał uciekać! Znamy się na tem! Zaprowadźcie go do milicji! A trzymajcie mocno!

— Nie wykręcajcie mu rąk! — rzuca ktoś nieśmiało z tłumu.

— Ludzie kochani! — mówię — nie wiedziałem o zakazie. Zapłacę chętnie karę. Tylko mi rąk nie wyłamujcie.

— Ha, niechby zapłacił odrazu karę, — odzywa się ktoś. — Po co go mamy ciągnąć do milicji?

Dozorca i kilku najbliższych mieli wielką ochotę zawlec mnie do milicji. Wreszcie jednak, pod naciskiem zebranych dozorca, klnąc niemiłosiernie, zainkasował odemnie karę i puścił mnie wolno, choć z nieukrywanym żalem.

Podchodzę do roweru. W głowie mi szumi, przed oczyma latają krwawe płatki. Masuję sobie powykręcane ramiona, a z ust wyrywa mi się reakcyjne westchnienie: „Mój Boże!" Wreszcie dochodzę do gościńca, siadam z powrotem na rower.

— I cóż się takiego stało? — pocieszam się w duchu. — Nie jestem przecież żadnym hrabią ani baronem, żeby mi nie można było choć rąk powykręcać...

Jadę spokojnie dalej. Zapominam o tej ordynarnej awanturze... snuję piękne marzenia o niedalekiej przyszłości...

Oto naprzykład jadę na rowerze... oba koła jednakie, podobne do siebie jak dwie krople wody... Skręcam w tę fatalną aleję. I nagle słyszę śmiech.

Patrzę: podchodzi do mnie dozorca, uśmiechnięty przyjaźnie... W ręku trzyma kwiatek...

— Dokądże to, przyjacielu? — mówi do mnie. — Oj, ty, baranio głowo, wjechałeś na złą drogę... tędy nie wolno jeździć. Wróć się braciszku, czemprędzej, bo inaczej za karę... nie dostaniesz tego kwiatuszka.

I z łagodnym uśmiechem wręcza mi kwiatek. Spojrzeliśmy sobie przyjaźnie w oczy i poszliśmy każdy w swoją drogę.

Słodka ta wizja przynosi mi pewne ukojenie. Naciskam pedały i jadę dalej. I mówię sobie: „Oh, głupstwo... nic mi nie będzie. Młody jestem... mogę czekać"...

spolszczył **Nałęcz.**

Zima w górach



daje dużo pięknych emocyj. Sport narciarski krzepi nietylko ciało, ale i duszę, wyrabiając odwagę, hart i tężyznę.



Ośnieżony szczyt Howerli, w pobliżu której wydarzyła się ostatnio tragiczna katastrofa zasypania lawiną.

Przedhistoryczne mieszkanie ludzkie na pustyni Libijskiej

Jeden z uczestników angielskiej wyprawy naukowej na pustynię Libijską, major Ralf A. Bagnold, ogłasza w „Daily Telegraph serję artykułów na temat badań i ich wyników. Wyprawa wyruszyła zeszłej jesieni. Zrobiono samochodem z górą 7 i pół tysiąca kilometrów i uczestnicy byli całemi tygodniami pozbawieni kontaktu z cywilizacją, a raczej utrzymywali go tylko przy pomocy telegrafu bez drutu.

Pustynia Libijska należy do najmniej zbadanych obszarów na kuli ziemskiej, a ekspedycja z r. 1932 była najpoważniejszą z dotychczasowych prób jej zwiedzenia. Najważniejszym wynikiem było odkrycie śladów, dowodzących, że pustynia była w dobie przedhistorycznej zamieszkała.

Paprykowany etatyzm

Węgierskie Ministerjum rolnictwa opracowuje plan monopolu paprykowego. Produkcja wynosi około 400 wagonów rocznie, z tych 120 obejmuje eksport, 220 konsumują Węgrzy. Kłopot sprawia zbytecznych 60 wagonów, z ich powodu cena papryki spada zwykle do minimum. Nowy projekt polega na stworzeniu centrali, której sprzedawanoby obowiązkowo narodową przyprawę. Uprawa papryki byłaby wzbroniona ludziom, którzy nie uprawiają jej obecnie. Owych 60 wagonow, z którymi niema co zrobić, niszczonoby lub rozsyłano do różnych obcych państw — dla rozdawania za darmo w celach propagandowych.

Humor

LUSTERKO

Pani Lala kupiła samochód. Ma dyplom szoferski. Zasiada przy kierownicy.

— Lusterko jest źle umieszczone, — oświadcza odrazu.

— Jakto? Dlaczego?

— No, bo wprawdzie widzę w niem każde auto jadące z tyłu, ale nie mogę się w niem przejrzeć...

TO CO INNEGO...

— Proszę pana... — jąka się nieśmiało młodzieniec, — czy mógłbym... prosić... hm... prosić pana o:::

— Ależ tak, kochany chłopcze, bierz ją pan i bądźcie szczęśliwi!

— Ją? Kogo pan ma na myśli?

— No — moją córkę. Chce mnie pan prosić o jej rękę?

— Nie, proszę pana... Chciałem prosić tylko o pożyczenie mi dziesięciu złotych.

— Mój panie, — odpowiada urażony, — za mało się znamy na to, abym panu mógł pożyczać pieniądze...

HISTORYJKI PODRÓŻNIKÓW

— Otóż pędzę mojem autem przez afrykańską równinę. Nagle wpada mi muszka do oka... Najeżdżam całym pędem na stojące samotnie drzewo...

— To okropne! Auto zapewne rozbiło się w kawałki?

— Gdzież tam!... To było drzewo gumowe.

ZA WOLNO JECHAŁ...

— Za co cię wsadzili znowu?

— Za zbyt wolną jazdę.

— Jakto?

— A no, gdybym był jechał prędzej, nie byliby mnie dogonili.

—:-:—

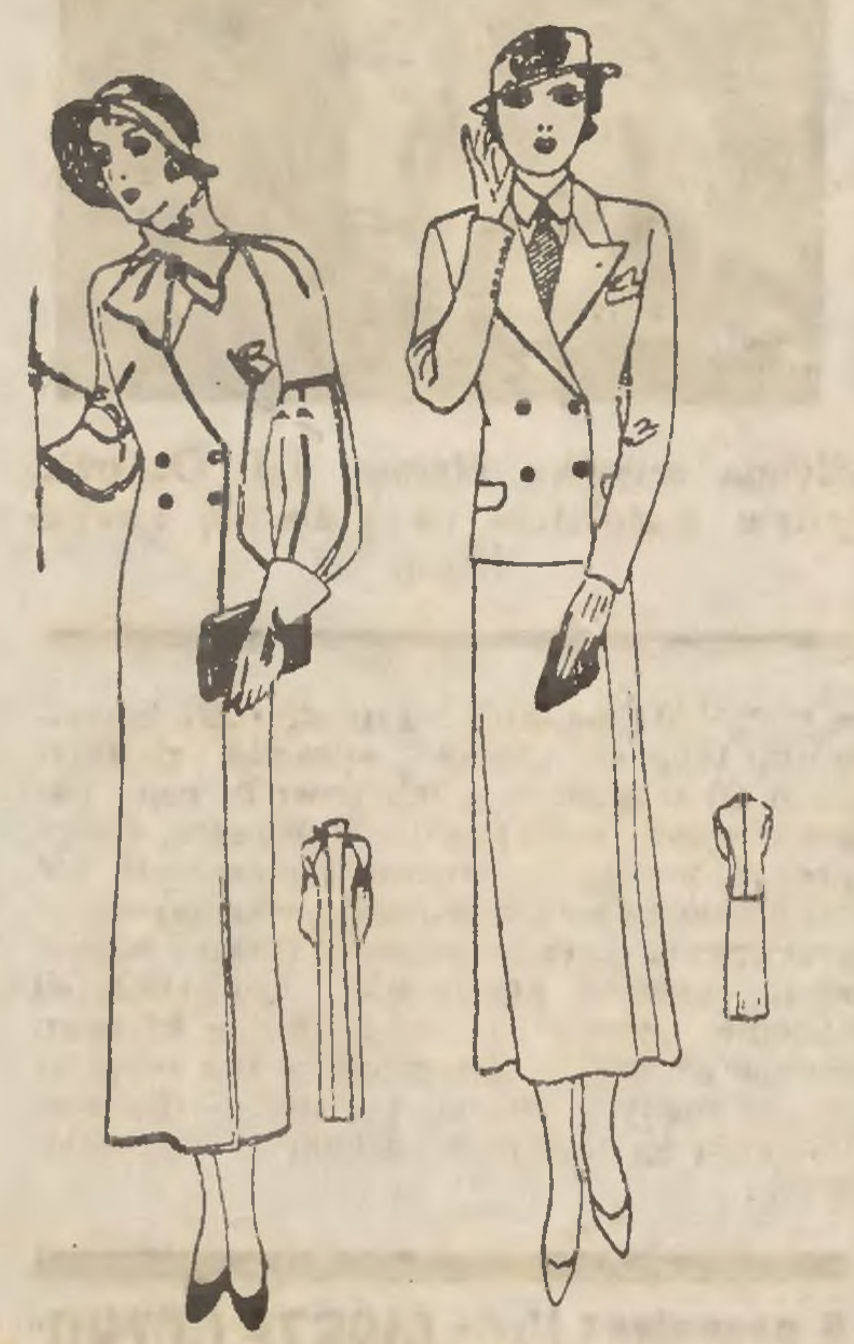
ŚWIAT KOBIECY.

W przededniu wiosny i lata

Moda wiosenna i letnia nie będzie tym razem żadną rewelacją, ani też nie grozi nam niebezpieczeństwo zbyt wielkich zmian, miłych wprawdzie lecz zanadto kosztownych w dzisiejszych czasach, jednak ukaże się sporo nowości, pełnych wdzięku i uroku kobiecości.

Linja pozostaje zasadniczo smukła, wydłużona. Stan normalny, albo lekko obniżony. Zresztą pasek przeważnie podwójny, umożliwia indywidualne zastosowanie go w zaznaczaniu wysokości stanu.

Suknie „princesse", w letnich suk-



niach spodnice z dwoma tunikami lub odcinanej pelerynki, płaszcze i żakieciki bez rękawów nadal będą modne.

Bardzo noszone będą kostjumy klasycznie angielskie, z krótkiemi żakietami, wybitnie wciętemi lub zupełnie wolnemi, noszone otwarte, z którymi suknie albo bluzki w innych kolorach tworzyć będą efektowny kontrast.

Również modne będą kostjumy w dwóch kolorach — ciemny żakiet a



jasna spodnica albo odwrotnie.

Moda letnia zapowiada faworyzowanie białych sukień, a jako narzutkę do nich, żakiecik lub pelerynkę w żywych kolorach — niebieskim, czerwonym, zielonym, liljowym.

Spodnice odznaczają się prostotą kroju, najczęściej składają się z kilku klinów, rozszerzających się u dołu, kontrafałdy do kolan są zastebnowane: modne też są znów kieszenie w spodnicy.

W przybraniu sukien wiele rozmaitości, przeważają, marszczenia, zakładki, ażury, hafty i paciorki, inkrustacje z aksamitu i jedwabiu na wełnianych, gładkich, matowych materjałach oraz mnóstwo kokard, najrozmaitszej wielkości, barwy i sposobu upięcia i guziki.

Znamienna jest tendencja do długich powłóczystych sukien, zwłaszcza popołudniowych i wieczorowych, która podkreśla ogólne dążności do zachowania wdzięku kobiecości.

Obok podajemy po jednym wzorze najbardziej charakterystycznych okryć.

Wzór 1. Płaszcz wcięty, obcisły, z wełnianej krepy, rękawy raglanowe, rękawy odcinane, oryginalny, modny kołnierz w formie szalika.

Wzór 2. Klasyczny kostjum angielski z wełny w paski. Żakiet półdługi, zapinany na dwa rzędy guzików.

Wzór 3. Czerwony, wolny żakiecik, który może być noszony do każdej sukni, na rysunku widzimy go na sukni z białego jedwabnego płótna, przybrany czerwonemi dużemi guzikami z jedwabiu i czerwonym paskiem.

Wzór 4. Do jasnej sukni z materjału piqué ładnie wygląda ta pelerynka z ciemnego lub o żywych barwach materjału, fantazyjnie ułożona.

Różnego rodzaju pelerynek zobaczymy latem bardzo wiele. Zaznaczyć jednak należy, że kobiety o spadzistych lub wąskich ramionach winne ich unikać, gdyż zwężają znacznie linję ramion i nie układają się dość zgrabnie.

I. Ł.

Mężczyzna poraz pierwszy

wplótł się w moje życie...

Miałam wówczas pięć lat. Rodzice poraz pierwszy wprowadzili mnie w świat! Jedna z ciotek mieszkająca w Montbaro oświadczyła, że chce koniecznie, żeby rodzice przywieźli mnie na śniadanie. Dziś jeszcze pamiętam, jak byłam dumna z tego zaproszenia A różowa sukienka i czapeczka w tym samym kolorze, specjalnie na tę wizytę kupione, były ukoronowaniem mojej radości.

Wyjechaliśmy z Avallon o świcie Wszystko było dla mnie nowością, wszystko mnie zachwycało: jutrzenka z każdą chwilą coraz bardziej barwiąca znikające z zawrotną szybkością mgły, rozpostarte nad doliną, ociężałe kołysanie się drutów telegraficznych, w którem wyczuwało się rytm kół — było to w mojem życiu pierwsze uświadomienie sobie rytmu muzycznego, — ostry gwizd lokomotywy, niezrozumiałe nawoływania, a w końcu oczekiwanie czegoś nieznanego... Tak, wszystko zachwycało moją małą duszyczkę, łaknącą nieświadomie piękna wszechświata.

U celu podróży oczekiwali nas młodzi kuzynkowie, których dotąd nie znałam. Jeden z nich wywarł na mnie niezwykłe wrażenie... Choć byłam nieco dzikiem stworzonkiem jednak uścisnęłam podana mi dłoń. Jego dłoń!... Wiele mógł mieć lat? Wówczas nie myślałam o tem. Przypuszczam, że miał około dwudziestu.

Pierwsze chwile naszej przyjaźni były cudowne: zwiedziliśmy całą posiadłość, zbierali kwiaty, owoce, biegali po ogrodzie... Były to rzeczy całkiem nowe dla mnie. Wprawdzie byłam jedynaczką a rodzice pieścili mnie i psuli, jednak mieszkaliśmy w mieście, więc tego rodzaju przyjemności nie znałam. Banda rozłobuzowanych kuzynków pobudzała mnie do płatania najrozmaitszych figlów. Jeden z nich stał się przyczyną tragedji.

Po obiedzie spostrzegłam z radością prześlicznego kotka, ulubieńca całego domu. Pociągał mnie tajemniczy urok zwierząt, tak często zapoznawany przez ludzi. Kotek mruczał rozkosznie pod wpływem moich pieszczot, szeptałam mu do uszka czułe słowa a jego duże oczka, o złotych przebłyskach, zdawały się mówić że mnie rozumie. Wzięłam go na ręce i zaczęłam kołysać spacerując po dużej terasie, położonej na pierwszem piętrze, nagle wszedł mój piękny kuzynek i powiedział:

— Wiesz, że kot może upaść z wysoka i nigdy nic mu się nie stanie?

— Co ty mówisz? — zawołałam zdumiona.

— Rzuć tego kota z terasy a przekonasz się, że mówię prawdę.

Ta niepokojąca propozycja zachwiała nieco moje zaufanie do kuzynka. Ale on coraz bardziej nalegał i perswadował.

— Nie bój się, przecież mówię, że kot zawsze spada na cztery łapy. To nawet bardzo zajmujące... No rzuć go!

I popchnął mnie ku balustradzie. Spojrzałam w dół. Głębia mnie pociągała... Instynkt kazał się cofnąć, ale kuzyn zmusił do pozostania na miejscu.

— Rzuć go! — powtórzył. — Boisz się? Ach! jesteś prawdziwą dziewczynką!

Ta zniewaga dotknęła mnie do żywego. Rozluźniłam uścisk... kociak wyślizgnął się..: i spadł z dziesięciometrowej wysokości!

W jednej chwili zrozumiałam jaką zbrodnię popełniłam. Wydałam okrzyk przerażenia, zbiegłam szybko ze schodów i pochyliłam się nad biedną ofiarą. Nieszczęśliwe stworzenie kwiliło jak dziecko. Nigdy, nigdy nie zapomnę rozpaczy, jaka mnie ogarnęła na widok tych złotych oczów zamglonych, z których wyzierał niezmierny ból, zdumienie i wyrzut, pozbawiony jednak żalu!...

Mój płacz sprowadził rodziców, ale okazało się, że dla biednego kociaka nie było już żadnego ratunku. To podwoiło moją rozpacz.

Gdzież się podziała moja radość dziecięca?

Mężczyzna wplótł się w moje życie...

Doznałam strasznych wyrzutów sumienia.

I jeszcze teraz, po tylu latach, oczy mi łzami zachodzą, gdy myślę o tej chwili.

Nie zostałam żoną tego kuzyna...

Tłum. I. Ł.

Współczesne amazonki

Mogłoby się zdawać, że dzisiejsze czasy najmniej nadają się do gloryfikowania legendy o Amazonkach. A jednak, gdy się bacznie rozglądniemy dokoła, spostrzeżemy, że i teraz jesteśmy otoczeni Amazonkami z legendy, to znaczy kobietami samodzielnemi, które walczą i zdobywają wszystko w życiu na równi z mężczyznami, używając ich broni.

Nasze lotniczki i automobilistki o ściągłych twarzach, obramowanych skórą hauby, a wzroku z natężeniem w dal wpatrzonym, czy to nie żywcem wzięte postacie z antycznej legendy? Ale obok tych, że tak określę niezwykłych fenomenów naszych czasów, tego najbardziej dekoratywnego typu nowoczesnego świata kobiecego żyją w każdym kraju szare, niepokaźne Amazonki dnia codziennego, które nawet trudno rozpoznać wśród otoczenia.

Nie oznacza to jednak, że dzisiaj kobieta jest zmuszona do cięższej pracy niż w minionych czasach. Przeciwnie. Cywilizacja ułatwiła kobietom życie, z rozwojem społecznego sumienia w świecie, kobieta została zwolniona z najcięższej pracy. Nie trzeba sięgać w zamierzchłą przeszłość, by stwierdzić, że dawniej kobieta spełniała najcięższe obowiązki, podczas, gdy mężczyzna zachował dla siebie bardziej „arystokratyczne zajęcia, jak polowanie, walka z sąsiedniemi plemionami itp. Dziś jeszcze żyją w Afryce plemiona, które np. budowanie domów uważają za czysto kobiece zajęcie a mężczyźni z założonemi rękami przypatrują się kobietom, uginającym się pod ciężarem gliny i drzewa. W dzisiejszych czasach kobieta przestała być jucznem zwierzęciem, objektem wyzyskiwanym na każdym kroku.

Dzisiejsza Amazonka, to kobieta poświęcająca się zawodom, które wymagają odwagi, inicjatywy, stanowczości i zaufania do samej siebie. Dzisiejsza kobieta nauczyła się tego, co odróżnia ją od kobiet dawniejszych czasów: sztuki życia w samotności. Są dzisiaj — i to dopiero dzisiaj, — kobiety, które ważą się na samotny lot nad Oceanem, na pobyt wśród dzikich plemion w celu naukowych badań i nie gnębi je uczucie osamotnienia ten największy wróg kobiecych poczynań.

Dzisiejsze Amazonki można nietylko w mundurach odnaleźć, chociaż kobieta w mundurze, — z wyjątkiem kilku historycznych postaci, — jest również zjawiskiem naszych czasów. Kobiety w uniformach są kapitanami okrętów w Szwecji i Rosji, jest policja kobieca w Anglji i Ameryce, a w Rosji ma być kobieta generałem. We Francji istnieje statek szkolny na którym kobiety kształcą się na marynarzy.

Do Amazonek nieumundurowanych należą kobiety inżynierowie, których również dawniej nie było. W Ameryce kobiety inżynierowie zajmują odpowiedzialne stanowiska, jak np. w General Electric Company itp. Takim charakterystycznym typem nowoczesnej kobiety jest Liliena Gilbert, kierowniczka Consulting Engineers. Jej specjalnością jest organizowanie wielkich przedsiębiorstw. Wybrała swój zawód z miłości — nie ku zajęciu, lecz mężczyźnie, który się z nią ożenił, a był inżynierem — i rywalizacja nie zakłóciła harmonji w tem małżeństwie. Ale Liliana nietylko spełniała obowiązki odpowiedzialnego inżyniera, potrafiła również wypełnić swoje życie miłością i macierzyństwem — gruntownie wypełnić, — gdyż jest matką ośmiorga dzieci. I to właśnie jest największą niespodzianką, jaką zgotowała nam Amazonka dzisiejszych czasów. Niegdyś ośmioro dzieci aż po brzegi napełniało troskami życie kobiety. Zawód inżyniera również całkowicie wypełnia życie człowieka, który mu się z zamiłowaniem poświęcił.

Ale te dzisiejsze kobiety, te kobiety, w których istnienie trudno uwierzyć, potrafią spełniać podwójne obowiązki, gdyż dążenie do syntezy jest jednem z najbardziej charakterystycznych znamion dzisiejszego świata kobiecego— ambicja, godzenie takich wręcz przeciwnych elementów jest cechą naszych czasów.

I. Ł.